

NA SKALNEM PODHALU

KAZIMIERZ TETMAJER

NA SKALNEM
PODHALU .

II.

KRAKÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI J. CZERNECKIEGO

KRAKÓW. — DRUK EUG. I Dr. KAZ. KOZIAŃSKICH

ŽELAZNE WROTA

THE END OF THE WORLD

Był chłop z Zaskala, nazywał się Tomek Wiérchowiec. Pokłopotcił on się z sąsiadami o miedzę, przyszło do procesu, włościł się po sądach, gospodarstwa nie pilnował, na nic się stepił. A jeszcze kiedy z wyrokiem przyszedł, ubili go sąsiedzi tak, że mało żywy został. Pół roku chorował, do reszty majątność utracił. Nie dość na tem; niewybyło dwa tygodnie, jak się ze słomy — bo już i łóżko Żyd zabrał — z podłogi podniósł, przyszła burza, strzelił piorun w chałupę, chałupa poszła z dymem. Nie było w niej co jeść, ale był przynajmniej dach nad głową. Spaliła się i stodoła, w której tylko wiatr pogwizdywał wesoło, i obora, z której Żydzi krowę wywiedli. Nie została nic, tylko płot naokoło zagrody.

— No, tok jus teraz dziad — rzekł do siebie Tomek.

A potem rzekł: Ludzie tu i Bóg proci mnie. Ciesne ten ziemie. Pudem we świat.

I poszedł, nie bacząc na żonę i na dzieci, ani na nic.

Przebrał się przez Tatry na węgierską stronę. Tam widział on więcej słońca, więcej zboża i wcześniej się złociło, kiedy na granie, pasając owce w Goryczkowej, wybiegał. Ztamąd też furmami wino wozili i pieniądze. Poszedł tam.

I przystał do służby do jednego bogatego pana na Liptowie; zgodził się ku owcom. Pasię je, pasię, co lato w prawe ramię Mięguszowieckiej Doliny, w Złomiska, wygania, a jesień, zimę, wiosnę przy dworze przesłuży, owce zimując, drzewo rąbiąc, w ogrodzie kopiąc. Płacę miał dobrą, wiedło mu się.

I tak zeszło lat czterdzieści.

Był już stary Tomek Wiérchowiec, liczył sobie blisko ośmdziesiąt lat; siły go jęły opuszczać. Już się od owiec dawno do wołów przeniósł, ale i ta służba była mu ciężką. Jednej nocy, kiedy — bo już mało sypiać mógł — przed wolarnią siedział, w miesiącu sierpniu, podczas wielkiego przelotu gwiazd, gwiazda z nieba lecąca tuż nad jego głową zagasła.

— Oho! Tu i śmierć — rzekł do siebie Tomek.

I dopiero pierwszy raz się zastanowił, że on nie będzie leżał na ludzimiérskim cmentarzu, gdzie od wieków, prawników ojcowie jego leżą, bo do tej parafii Zaskale należy. Będzie leżał na Liptowie, za Tatrami.

I smutno mu się zrobiło.

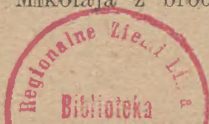
Wygnał on pamięć o Polsce z duszy. Niechciał

myśleć o swojej klęsce, o krzywdach, o nędzy, o chorobie, o Żydach, o żonie i dzieciach, które może tym samym Żydom wodę noszą, było mu dobrze, słońca było więcej, zboża więcej i wczesniej dojrzewało, odpędzał myśl o Polsce, aż ją i wygnał z duszy. Zapomniał.

Dziesiątki lat nie przyszła mu już do głowy.

Ale teraz, kiedy zobaczył blisko przed sobą śmierć i zastanowił się, że nie na ojcowistym cmentarzu będzie leżał, ale tu na Liptowie w dziedzinie, na obcej ziemi: poczęła mu się swoja ziemia do oczu cisnąć.

I wezmą mu się roztaczać przed oczyma: nowotarski bór, zaskalskie gaje, ludzimiérskie torfowiska i kamieńce, rogoźnickie łąki. Weźmie mu się więc przed oczyma bystry, pełen zielonych głębin Rogoźnik, szumiący wartki Dunajec, jasna Lepietnica z pod Lasku od Trutych, zkąd żonę miał. Weźmie mu stawać przed oczyma stary ludzimiérski drewniany kościół z dzwonnica między lipami i stary ludzimiérski drewniany dwór z mурowanym śpichlerzem, gdzie w piwnicy w sklepieniu, hak był na wieszanie opryszków wbity. Wezmą mu się przypominać tamtejsze odpusty, na które ludzie z Orawy i od samych Myślenic przychodzili. I wezmą mu się przypominać maruszyńscy tancerze sławni, dziewczki śpiewaczki z Gronia, lasy na Beskidzie po Kluczkach i Gorcu, dzieci, jak na świętego Mikołaja z brodami z konopi,



w długich kozuchach ojcowych chodziły, zjazd koło Gapkowej chałupy ku wodzie, olbrzymi jesion na Walosowych polach. I weźmie mu się przypominać matka i ojciec, rodzinna chałupa, żona i dzieci, rodzinna mowa i własna muzyka — i zapłakał. I taka go tęsknota ogarnęła ku Polsce, że chciał woły rzucić i iść — — ale było daleko...

— Hej! by jom tyz hoć raz uwidzieć jesse, tén ziemecke świentom! — rzekł do siebie i myślał.

I tak, jak było, w nocy, wstał z progu i począł się wspinać od wolarni ku górze, zrazu pomiędzy kosodrzewinę, wrzos i łopuchy po trawie, potem po mchach, po głazach — — szedł ku turniom, które nazywają Żelazne Wrota; na prawo od nich Batyżowiecka grań, na lewo Ganek. Z którejby tam przelączki popatrzy.

Szedł o głódzie, nogi go bolały, w plecach, jakby sztydłem wiercił, pot mu oczy zalewał — ledwie się włókł, ale szedł. Głazy przed nim rosły, rosły, stawek mu się zaświecił popod olbrzymią mroczną górę Kończystej gwiazdami odbitemi i tak zapadł po za nią, jak ptak, kiedy w dolinę zleci.

Szedł dalej.

Na rano, na świtanie spojrzy na ziemię swoją, na Polskę.

Poczęło słońce świtać.

— Hej! Kieby ino mgły niebyło! Hej! Kieby ino mgły niebyło! Cobyk by raz jesse tén świen-

tom ziemeckie uwidział przed śmierciom!... Bo ani już niewiem, czy się wróce... — szepce do siebie Tomek.

Ale na Liptowie czysto, będzie tak i nad Polską — jasno.

Wiatr się zerwał poranny, zarzucił Tomkowi włosy na oczy, zalał mu je pot. Zimny prąd go przebódnął przez piersi i ramiona, musi być już na przełęczy. Odgarnął włosy ręką, przeciera oczy — ha!... przed oczyma jego stoi czarna ściana skały Garłucha, która tu świat zamyka. Nie widać za nią nic.

Patrzy Tomek z rozpaczą — napróżno. Na prawo, na lewo niedostępne, skrzęsane igły Żelaznych Wrót, przed nim przepaść i po za nią czarna, niewzruszona ściana Garłucha; zwałała mu się na oczy, jak noc.

— Hej! — jęknął. — Takieście to wy wej, Żelazne Wrota?!...

JAK SIĘ MICHAŁ ŁOJAS
POWIESIŁ



Zej ta było, jako było, a co będzie, som Bóg wie!...

Tak mówił Michał Bulczyk Chowaniec Łojas Kośla z Kośnego Hamru. A potem sobie zaśpiewał:

Ej hłopiec jo, hłopiec juhaskiej natury!

Ej jak se podpijem, podskocem do góry!

I podskoczył.

Idzie, cała dolina jego, bo jest mocno pijany. Tu więc o pień zawadzi, tam kamień kopnie, raz na prawo, raz na lewo, tu się chybnie, tam potoczy — i tak „cała dolina jego“. A księżyc się patrzy z poza Goryczkowej Czuby i przysiagłbyś śmieje się beskurcyjo.

— Hej, dobrze ci sie hań prześmiewać tamstela! Kiebyk cie haw blisko mioł! Wypoliłbyk ci téz w tén świeconcom kufe!

Tak powiada Michał Łojas i łup bokiem o pniak smrekowy. Utrapione te pérci od Katalówek do Kondratowej, tyle na nich smreków, jak czego dobrego.

— Las! Wiera mi tés! Cyk go siał, albo co!?
Stanał, zatrzymał się, poprawił kapelusz, od-
wiódł pięść, ale wesoło.

— Co? Cy jo niejest Mijał Bulcyk Howaniec
Łojas Kośła z Kośnego Homru? Co? Mozek nie-
jest? Co?!

Ale mu się nikt nie sprzeciwił. Posłuchał chwi-
lę, poczekał, jak na śmiałego chłopca przystało,
nikt się jednak nie odzywał. Więc poprawił jesz-
cze raz kapelusza i kroczył dalej, pogwizdując. A
potem sobie przytupnął i zaśpiewał:

Spodobały mi sie u zajonca us-i,
u jelenia rogi, u dziewcyny nogi!

Po chwili rozpoczął monolog:

— Upiłek sie. Niéma co pedzieć. Upiłek sie. Ale
bez cok sie upił? Bez niebłogosławieństwo Boskie...

E dy jo se pijem i to mi nieskodzi!

Pudem dołu drogom, Pon Bóg mi nagodzi!...

E, mnieby ta Pon Bóg kie nagrodziél! Onacy-
łek ta, jakok móg, i cozek wyónacył? G....!

Hej nic, ino to!

Woroł mi sie... Bezera! Wrodoś!... Woroł mi sie...
Zaoroł mi na groniku mało rahowaé by pół mor-
gu. Głobiś! Nie tak hłopy, ale kiebyk go haw
spotkoł! Doroz by spod na ziem!

Woroł mi sie. Coz mu bedem robiel? Pudziemé do prawa? Cyk sie nie prawociel bez pólcworta roku pokrony tego gruntu po cioce? Cozek wyprawociel?

Styry dudki dała, coby tańcowała —
Styry dudki wzieni, ona stoi w sieni!...

Telo mos!

A jesce to nic, co mi sie woroł, ale s tom sopom! Przecie, kie mi jom wiater przyniós, to sopa moja! Som Pon Jezus pedzioł: Bier, Mijale, co Bóg daje! Wiater prasnon sope na moje, to sopa moja! Bo jakos béło? Przišel wiater halny od wierhów i przyniós sope z Frankowego pola na moje. Tak my mieniali: jemu ostoł plac pusty po sopie, a mnie urosła sopa na pustém. Cy jo jest temu winowaty? Nie jo robiel ze sopą, ba wiater. Co on mo teraz narabiać se mnom? Bił mnie tak, co sie widziało, ze mi zyły wytardze. A jo sopy broniel, bo mi Pon Bóg sope tak, jako z nieba spuścić. Cozek wybroniel? G...!

Skarzyłek. Ej baj to! Oni by ci oo kie prziznali! Ani mu za tén bitke nie nie wsuli, bo, pado, swowego bronil. Juźci swowego! Kie na moim gruncie stało! Ba!

Stryła im do boku s takom sprawiedliwościami! Drzewiěj nie było nijakilk sądów, béło lepsi. Stryła im maciery!

Ej! Pirwéjek se śpiéwoł, teraz plakać muse,
co ja sie tak marnie poniewierać muse!...

Héba sie obwiesić, abo co...

Wselikniejako prógował na świecie — ej! ka-
byś ta!...

Tu Michał Łojas Kośla rozrzewnił się nad sobą
i łzy mu napłynęły do oczu.

Co jo sie tak marnie poniewierać muse!

dodał żałośnie.

— Abo baba. Siute stworzenie zawdy dyabli
pote! Uwarzi ci, opiere cie, prowda, ale ci tés da
siustu, nie bój sie!

Kiebyk ino kielusek wypieł, jus wié! Teli nos
mo! Przyńde du domu — beł mie w łeb! Kieby
ino pieńściom, ale co dopadnie. Ty huncfucie! ty
łajdoku! A dy przecie Pon Bóg tak stworzył go-
rzołke, jako i świenconom wode. Syćko Jego
i z Jego miłosiernéj ręki, z mocy nowysej pohodzi.
Bóg miłosierny coby sie opiekował s nami do sa-
mój śmierci, pokieli nie pomremy. W imie Ojca
i Syna i Duha Świentego, Ojce nos, wtoryś jest
w niebiesiech, świenć sie Imie Twoje...

Tu się Michał Kośla mocno zatoczył, wpadł na
jakiś wykrot i siadł na nim, między korzenie. Nie-
długo począł przytupywać, przykiwywać głową
i przyśpiewywać:

Djabła zjadło z buciskami,
kiedy mie tak uciskały!
Jak sie weznem do ozprawy,
ozpierem je popod ławy!

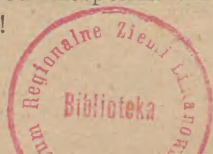
Gwizdnął po juhasku, aż zaleciało gdzieś w Kon-
dracką Kope.

Hejze ino po francusku!
Trzymaj ze jom na łańcusku!
Djabliz ci jom utrzimajom,
kie sie jój tak napirajom!

Rozśmiał się i ze strasznym już temperamen-
tem, waląc obu piętami w ziemię i przykiwując
głową, jak opętany, śpiewał coraz siarczyściej:

Jo se ligom pod kolibom,
przijdze ku mnie, gęby ci dom!
Gęby ci dom, gęby ci dom,
jesce ci sie na co przidom!

Niemógł już wytrzymać, zerwał się z miejsca,
świsnął przez zęby raz, dwa, przychylił głowę
w dół, przycisnął kapelusz ręką, tupnął nogą i hyc
krzesać drobnego, piętą o piętę, obu piętami w po-
wietrzu. Tak sobie trafił nutę pod nogę, jak mało
kiedy sam Szymek Krzys utrąfi! Krzesze i krze-
sze, aż mu żwir pod kierpcami skrzypi — mało
tego! Po hajducku!



Hej nimas to, jako zbój!

Padnie listek, to sie bój!...

Nosi się koło ziemi, podskakuje, co podskoczy, to się wytnie rękami w pięty, hyc na lewo, hyc na prawo, tylko kapelusz przyklepie ręką, hujt, hujt przez zęby, aż się cały zapocił. Tupnął nogą na zakończenie i dłonią uderzył w ziemię, aż jęko.

— Cy jek nie tonecnik?! Piérsy we świecie? Co?!

Ale mu nikt nie przytwierdził, a natomiast zmi-ja zgryzot znowu zaczęła mu pelzać po piersiach.

Tańcuj! Tańcuj! — myśli. — Ty imo tańcuj! A tam ci sie Franek Bartusiów worał, pół morgu ci zabrał, po ciotce gruntuś nie wyprocesował, szopę ci wiater z Frankowego na twoje przeniósł, niedość, że ci szopy nie przysadzili, jeszcze cię Franek zbił i nie mu za to nie wsuli w sądzie w mieście, bo, powiadają, swojego bronił. Tańcuj! Tańcuj! Ty se imo tańcuj haw, kieś oddalno od domu. Żeby cię tak baba zobaczyła! Dałaby ci! Stołek nie stołek, kijanka nie kijanka! A ty dzia-du, ty obwiesiu! To, co ci się patrzy, wybronić nie umiesz, w sądzie się sprawić nie umiesz, ale byś tańcował, ale byś pił! Może ci się jeszcze zwidziła Bronka Ustupska? Co? Ty! Mozek nie uwazowała, jakieś do niej ślepie tracił na kowolowém weselu? Tyś ku niej! Prawie! Łeb ci zesiwiała, brzoda sie

juz hnet bedzie trzęsła. Ej wiera! Jaki mi! Tys ku dziewczkom! Parobecek!...

Tu się tak Michał Łojas własnej myśli i jej dokładności przestraszył, aż się obejrzał. Ale na szczęście niebyło nikogo. Był sam na wylocie z lasu od Kalatówek ku Kondratowej.

— Prowda jest — rzekł po chwili. — Prowda jest. Winowatyk. Kundziu, som ci to powiem: winowatyk. Mało co, to sie napijem. Ale ty temu nierozumiés, bo to wiés, jako powiadajom: hłopski rozum, babskie mięso. Jo juz jest taki. — Tu zmienił głos. — Co jo sie niemom za swoje napić, co!? Cyk ci ukrod!?

Tu mimowoli chwycił się za głowę i przygiął ją, jakby otrzymał cios. Pomacał się; nie boli.

— Pacnena abo nie? — mówi do swojej duszy. — Nie eujem, a tak sie mi przecie widziało, zek dostoł?...

Ale druga zmiija, odmienna, poczęła pełzać po piersi Michała Bulcyka Łojasa. Ej moi mili! Dziewka ze téz ta Broncia!...

I poczęło się Michałowi Łojasowi przypominać, jak ją widział raz w polu przy wiązaniu snopków, w koszuli była tylko i w spodnicy i w chustce na głowie. Wiatr ciepły wieje koło bioder, co się ona schyli, to ją owinie, aż oczy piecze; co się wyprostuje ze snopkiem, to piersi wystrzelą pod koszulą, jak kwiaty na wiesne. To ją znowu w tańcu widzi, to do kościoła idącą w żółtych butach oraw-

skich, to jak krowy pasie pod lasem Krupowskim, to jak len rafie, a śmieje się a śpiewa a śliczna...

Ej sto Bohów do niego! Dołby jo ci bobul!...

Ale cóż? Stary jest, sześćdziesiąt mu blisko, sam córki ma dwie, obstarne juz, a nikt tego nie chce wziąć. Coby téz i brał?! Biedne to, a brzydkie, a złe! Cołke na matke podane! Trza to odziewać, żywić, wadzi się tylko w izbie, a wymaga, a pomstuje, a krzywdzi se, czasem i matce bić pomoże! Dyasi ta po takim gazdowaniu!

I splunął — tfu!

Na jednego moc! Franek go krzywdzi, baba poniewiera, dzieci złe, tu go szarpia, tam go biją — prawda, że dyasi po takim gazdowaniu!

— Co jo mogem wygazdować? Héba śmierć — mruczy Michał Łojas Kośla, odrazu bardzo smutny.

— Co jo mom jesce na świecie robić? Nie, zebyk juz tak niemiół co do gemby, abo na sie włożyć, to, kwalić Boga, jesce nié. Ale co to za z-icie takie? G... nie z-icie! Dziadek, co po pytaniu hodzuje, przódziej mo pokój i zadowolenie, jako jo, co je jek z dziada pradziada gazda!

Tuk w Kondrotowój, dobrze mi. Napitek sie w Homrak, śpiéwom se, tańcujem se, co fcem, robiem. Coby sie i nie udziało, coz mi ta, kiek haw, nie przy domie. Ale hań — niek ino zajńdem. Zgryzota mie uhyci, jako kot scura. Hoćby sie jako

bronieł, nie jego moc! Bedem sie zaś ciskoł po wyrku, nie śpięcy, bo jus ani spać, ani jeść niémogem. Baba bedzie brzęceć, córki brzęcom — djasi mi po takiém gazdowaniu! Héba sie obwiesem, abo co?!...

Ta myśl mu się chwyciła głowy.

Idzie i kalkuluje, palcami kiwający: Obwiesem sie — — nie obwiesem sie — — obwiesem sie — — nie obwiesem sie...

Tu przypadkiem trącił łokciem o rękaw zawiązany od czuchy, którą miał zarzuconą na ramiona i poczuł coś twardego. Sięgnął — flaszką! Ucieszył się! Pilno flaszkę dobywa, jeszcze w niej krapka wódki. Zapomniał.

Chlust — wypił.

Skrzesiło go, to jest przybyło mu energii, ale nie ochoty do życia.

Piérwój mie ciesyło śpiéwanie i granie,
Teroz oplakane moje gazdowanie! —

zaśpiewał smutno.

Obwiesem sie — — nie obwesem sie... Obwiesem sie — — nie obwiesem sie...

Idzie, zatacza się, cała dolina jego, a powtarza sobie w myśli. Nakoniec porwała go największa złość na Broncię Ustupską. Uderzył piętą w kamień, cisnął kapelusz, zdarł i czuchę ze siebie i buch nią o ziemię! Taka go złość porwała, aż mu w gardle zagrało.

Ty dziewecyno strojno — mów — bedzies na rok dojno, bedzies miała hłopca i mléka dwa skopca! —

Bęc pięścią w pniak. Skręcił w smreki ku Pustej Dolinie.

— Syćko mi dojadło! Wto mi kazuje z-ić!? Wto tu mo mi co oskazować?! Cy jo nie jest Mijał Bulcyk Howaniec Łojas Kośła z Kośnego Homru?! Z dziada pradziada gazda?! Cy jo niémogem robić, co mi sie zwidzi?! Co?! Co mi wto mo do oskazowania!? Co?! Jo nie musem!

I chygotał się po lesie, mruczając: Obwiesem sie — — nie obwiesem sie... Obwiesem sie — — nie obwiesem sie...

A złość, wściekłość na życie ogarniała go coraz większa. Już się pienił i rzeził ze złości. Nakoniec stanął pod smrekiem, na który padał księżyc tak, że aż się pień bielił od światła, i począł wyciągać pasek, przewleczony przez spodnie w pasie i opuszczony w dół z tyłu, z guzem mosiężnym. Wyciągnął, poprawił spodnie, przesunął przez klamrę i zaczepił na konarze.

— Smreku! — krzyczy. — Obwiesem sie na tobie! Słisys?!

Ale smrek milczał.

— Słisys?!

Ni stąd ni zowąd rozrzewnił się Michał Łojas Kośła. Obejmuje pień drzewa ramionami, przyciska usta do kory i powiada: Moje drzewo ko-

hane! Unieś ze mie tés by na kwile, niekze sie ta jus pote i urwiem. My tak, jak bracia. Na tobie bije śnieg, dysc, bodas wto o cie uwadzi, pierunki fce, strzeli do tobie, wiater tobom huzio, marne twoje zywobycie, jako i moje.* Moje drzewo kohane! tak se haw bedziemy wroz bidzili. Ino ty ku górze wiérhowce, jo se zaś ku ziemi pien-tami. A cobyś mie nie strzepnon, jaz dojńdem. To ta nie bedzie długo trwało, bo to, wiés wej, człowiek nie drzewo. Mało mu trza. Kiela to bedzie koło tobie robota, kim cie zetnom! Tu trza siekiéry, tu trza piły, tu trza hłopów, wto wié nie jakiego sprzętu, a przy człowiekowi to ta nie wielo. Pasek z portek — dość! Przyńdzie bogiénka, dziwozona, bedzie sie pytała: Zje cos to wisi? Cy zaś nie spyrka świńska, abo nie sadło, cybyk se zaś nie uciena końdecek dzieciom? To ty jej powiédz: Uhyl ze tén copecke cyrwonom z głowy, mojaś ty, bo to wisi nie spyrka, ani nie sadło, jino człowiek krzcony i pobożny, Mijał Bulcyk Howanec Łojas Kośła z Kośnego Homru, z dziada pradiada gazda.

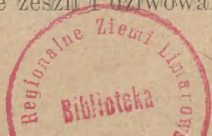
I zadzierzgnął sobie pasek na gardło.



DZIKI JUHAS



Był jeden taki juhas z Jurgowa, strasznie dzi-ki, a nazywał się Bronisław Luptowski — uhlarz, czyli węglarz, bo taki czarny był na twarzy, jak-by z węglami w lesie robił, tylko mu niebieskie ogromne oczy z pod rzęs świeciły na białkach. O nim opowiadali, że kiedy na kogoś spojrzeł, choćby jaki śmiały chłop był, nie dotrzymał i co-fnął się. Psy owczarki, człeku po pas, które do wilka same skakały, a i ku niedźwiedziowi, jak ich było przy szałasach trzy, cztery w kupie, szły: tylko się przed tym Luptowskim kurczyły pod siebie, a z daleka warczały, kiedy na jaką obcą polaną zaszedł. Siłę też miał taką, że dwie pod-kowy naraz łamał, jak pręt osiki, a kiedy go zam-knęli w areszcie w Nowym Targu — właśnie w kierpce orawskie z obcasami obuty był — tak się bawił, że skakał na piec, co tam był niski, a z niego na podłogę i za każdym razem obcasy po same pięty w podłogę wbił. To tak zdziura-wił ten areszt, że się wszyscy stróżowie, komisa-rze i sami sędziowie zeszli i dziwowali, a ten naj-



główniejszy sędzia nie mógł wytrzymać i dał mu papierka za tę sztukę, choć szkody narobił. Tak docyfrował podłogę, co cud!

A zły był taki, że o bądź co kogo prask w pysk, albo kopnął. To się ten też nim obejrzał, to już do góry nogami świat zobaczył. A zaś kiedy go chuć taka dopadła, to odbiegł wszystko i zatracił się gdzieś w lasach, że ani słychu widu o nim. Co robił: nie wiadomo. Czy po zbójku chodził, czy gdzie tak się tylko błakał: nie wiedzieli ludzie. Jeżeli po zbójku chodził, to sam, bo się z nikim nie stowarzyszał. Ale on też ta za kierdelik zbójników starczył.

— Hej! Kieby Janosik jesse żył — mawiał czasem — poprógowali by my sie, wtory by był za hetmana? Bo z wami dziadami cos ja bedem robił? Héba byk wami w stodole mlóciél?

Ale to się mu tak gadało, bo każdy wie, że nad Janosika nie było chłopca i że on turnie plecami dźwigał, a kiedy skoczył, wierchowiec jodle urąbał ciupagą, a drugiej odstrzelił z pistoletu, czego ten juhas dokazać by nie potrafił. Ale żeby się był ku Janosikowi na drugiego zdał: to pewna.

W zimie on w domu u ojców robił, bo bardzo robotny był, a w lecie juhasił w górach, w Jaworowych Sadach. A choć czasem owce odleciał i gdzieś się tłukł po Tatrach, rad go bacca Ustupski widział, bo juhas to był, kiedy się wziął paść, że szeroko po świecie szukać. Owce się przy nim

tak upasły, jak ulegałki. Niedźwiedź się też nie miał co bardzo ku nim ze Szerokiej Jaworzynskiej z kosówek podkraść, bo on czujny był, jak pies, a już dwa sprzątnął. Nie flintą, ani w oklepcie, broń Boże; jednego kamieniem ogłuszył i rękami udusił, drugiego widłami żelaznymi przebił.

Nie było już później takich mocnych ludzi.

Byliby go ludzie lubili, bo był świecny chłop, przystojny i zgrabny, i przemowę miał miłą i do rzeczy, ale to mu chybiało, że strasznie gwałtowny był i że go coś roznosiło od serca. To się mu też uchylali i nazywali dzikim juhasem. Zabił on już w bitkach troje ludzi, ale się ta o to wtedy nikt bardzo nie starał.

Dziewki go się też bały i uciekały przed nim, a kiedy którą za rękę ujął, to już była jego.

A tak powiadali o nim, że i oczami tak spletał dziewczęce nogi, że drgnąć nie śmiała, tak właśnie, jak mówią o ptakach i wężu. To też miał on kochanek tyle, ile chciał, bo mu tam i w drogę wchodzić przy nich nikt się bardzo nie spieszył, ale sam mawiał o sobie: Ja mam telo freirek, kielo sysek na smreku, ale coby mie kohała wtora, to nie.

On ich też nie kochał. Dziś był przy tej, jutro przy tamtej, zaś się wrócił, zaś nową znalazł. Co chciał to miał.

I co się nie zrobiło, zakochał się ten juhas w dziewczę, co pasowała krowy pod Muraniem. Co się mu stało, nikt niemógł wyrozumieć. Ale się tak

odmienił, jakoby mu kto duszę wyjął i inną włożył. Coby mu się piérwej oczy były zaiskrzyły, a zęby zaświeciły we wargach, to się teraz tylko uśmiechnął i odwrócił, albo poszedł dalej. Owce wyganiał w tamtą stronę, ku Muraniu, a choć na cudzem paś, nikt mu się tam nie sprzeciwił, bo nikt nie wiedział, czy się to uśmiechanie może nie skończyło, albo nie skończy do razu? Paś, gdzie chciał. Wyganiał owce w Murań, a juhasom tamtejszym mówił:

— Idźcie paść w Syrokom Jaworzyńskom.

— Kie sie boimy wasego bacy.

A on się uśmiechnął:

— E, juzek go pytał, coby wam niebronił.

To śmiało szli, bo już wiedzieli, że ani papier z urzędu tyle nie wart, co ta prośba.

I tak nie było krzywdy ani niezgody.

A ona dziewczka pochodziła ze Zdziaru, gdzie sławne są z urody kobiety. Nazywała się Agnieszka Hawrańcówna i nie uwierzyłby nikt, tak się na tego Bronisława Luptowskiego patrzyła, jak na pniak. Nie mógł sobie z nią nijakim światem rady dać.

— Jagniś — mówił jej — nie bedzies mie lubiła?

A ona mu mówi:

— Nié.

— Bez cos tak?

— Bo mi sie nie widzisz.

A on tak do niej mówił, jak do obrazu świętego, a ona do niego, jak do psa. I cóż mu tam było po tej sile i po tej tęgości?!

Inną to byłby za rękę ścisnął, ażby jej pręgi czerwone poza pięść wyszły — i tuś! A tu to się tylko patrzył, jak do nieba, a matka tak mało kiedy do dziecka się ładnie odezwie, jak on do tej Agnieszki. I gdy wtedy ludzie widzieli, że tyle zmiękł, to, żeby się go byli niebali z pamięci i żeby nie to, że nie wiedzieli, czy to tego długo będzie, toby był który niektóry wnet mu pięścią między oczy za co dawniejszego zapłacił.

Dośmielała z nim ta dziewczka w straszny sposób. Nie na szepę wieczorem, ale go w dzień do szałasu puścić nie chciała, choć ludzie byli, a kiedy wlaźł, jak jej nie było, wyganiała go potem w pole:

— Co tu fees?! Tyś niepili! Idź ku swoim! Co tu mas do roboty pomiędzy nas? Wynoś sie! Ty djable!

A on nie, tylko na nią spojrzął tak, jakby pacierz mówił, wstał i do pola szedł. Ludzie mówili: dobrze mu tak, ale niejednej dziewczynie go tak żał było, żeby go była rada przytuliła ku sobie. On jednak już niewidział żadnej, tylko tę Agnieszkę Hawrańcówną ze Zdziaru.

I tak się stało, że się zeszli raz ku wieczorowi w upłazie pod Muraniem, ona z krowami poniżej, on z owcami powyżej. Przyszedł ku niej, pyta się:

— Das mi siednoné przy sobie?

— Teloż, byk cie nie widziała.

— To mie juz tak ciérpieć niémozes?

— Niémogem.

— Ale bez co przecie? Dy tu jakasi przycyna musi być!

— Jest.

— Jakaz?

— Bok ślubowała Jędrzkowi Hawrańcowi, co przy kilysyerak służy.

Dopiero jak on się porwie, jak krzyknie:

— To bez to ino! Hej, a ja myślał, ze wto wié co!

I złapał ją na ręce, tak jak jagnię, i niésie w górę ku owcom, w turnie. Ona czy oniemiała ze strachu, czy taka cięta była, ani nie krzyknęła; nie było też ta po co krzyczeć, bo ktoby tam był za nim szedł...

Wyniósł ją na płasienkę ku owcom, położył na ziemi, klęknął nad nią, powiada:

— Mojaś!

— Nie twojak!

— Tu cie zrucem z téj turnie w przepaść!

— Nie zrucis!

— Nié?! Wto cie obroni?

— Ty sam!

— Jo sam?!

— Twoja miłość!

I dopiero wtedy stało się, czego nigdy prze-

nigdy nie widywali ludzie na świecie. Puścił ją; kiedy skoczy, kiedy chwyci owcę najbliższą — cisnął w dół! Latał po upłazie, wyżej trzydziestu owiec, co je wygnał, zeprał na kupę, tak, jako z dwóch pięter. Zrobił się wał z tych pobitych owiec. Taki wściekły był.

Ona się tymczasem zerwała z ziemi i uciekła do szalasów.

Kiedy już z temi owcami skończył, musiał zesłabnąć, bo legł piersiami do góry i już noc nadchodziła, a jego jeszcze tam znać było, jak się czernił na trawie do miesiąca. Nie wiedzieli ludzie, co robi, czy omdlał, czy co, ale się bali iść ku niemu zaglądać.

Do rana też nie było z niego szlaku znaku i nigdy on już więcej pod Murań nie przyszedł.

Myśleli z razu i w Jaworowych Sadach i tam, że się może do wojska dał, bo właśnie przyjechali do Lewoczy rajtarzy cesarscy z werbunkiem, ale to się nie stało tak.

W nocy on się dźwignął z tego leżenia i przykradł się ku szopie Agnieszczynej, co na kraju pod pagórką stała; psy nie szczekały, bo go znały dobrze. Ujmie z pagórka w ręce kamień, coby go i trzech chłopów ledwie podjęło, wzniósł nad głowę — wiedział, w której stronie Agnieszka sypia — tu! tu! byłby dach zgniótł i ją zabił. Zamierzył się raz — spuścił ręce; zamierzył się drugi raz — to samo; za trzecim razem cisnął

kamień w bajorko. I tylko sobie powiedział po cichu: Ej Jagniś! Jagniś!...

Taki chłop! Byłby przecie wszystkie szopy mógł roznieść ze wszystkimi juhasami w nich!

I tak jakby się sam siebie bał, skoczył w las. Z lasu w kosodrzewinę, w upłazy, przeleciał przełęczę Jaworzyńską, skielznął na dół, w ten bór stary, co wtedy popod Rówienki rósł. Tam smreki bywały grube, jak filary w kościele, a konarami obite do ziemi, że mało z pod nich do nieba było widno. Paproci, wszelijkiego ziela, szczawiów, łopuchów, traw: wyżej kolan. Gąszcz straszny. Pnie z pniów rosną, noga klęśnie w próchnie, tramy, kłody, bale nawalone pomiędzy głazy jedno na drugie, a wszędzie mech zielony, zawilgły i mchy wiszą z konarów, siwozielone, długie jak brody. A między drzewami żółte, wysokie kwiaty rosną — to się czasem tak zaświeci z za gałęzi, żebyś rzekł, złego co patrzy na cię, aż się wzdrygniesz. I cicho tak, jak wiatru niema, że ani szmeru. Wody nawet w potoku nie słyhać z dołu. Głuchy bór, jak trup.

Tam on się zatrzymał, ten juhas Luptowski, a jeszcze była tęga noc, bo on ta sporo mógł chodzić.

Obaczył się w tej puszczy i powiada: Hej lesie! lesie! Abo ja, abo ty!

Co mu to do myśli przyszło?! Czysto oszalał!

Złapie jeden konar — pociągnie — trzask! ukruszył. Złapie drugi, trzeci, młode smreczki, ła-

mie, targa, z korzeniami rwie. Do starych smreków ze zębami skacze, korę z drzewa wydziera, aż mu krew z pianą z ust bryzga. Huk, trzask, łomot po lesie, że strzelcy, koziarze ze Zakopanego, co tam niedaleko nocowali, myśleli, że się niedźwiedź gdzie pod Żabiem, bo tam radzi Białczanie zastawiali, w oklepiec złapał i ku Rówienkom go przywlekl. A niedźwiedź w oklepcu strasznie las łamie. Ale się bali tam iść, że noc.

Ku ranu ustało hałasieć.

— Zmordował sie biédak — mówią strzelcy — trza ku niemu iść zajzreć, cyby go jako nie ozpętać, kie mu sie tak w tyk zelazak cnie...

Idą, stanęli, jak żeby im kto po oczach siarką chlusnął, aż im strzelby zadygotały w rękach, a Tyrale podobno i wypadła.

Tu nagruchotane konarów, drzewek, łom, skrety, zwał, aż się polanka w lesie zrobiła z widokiem; tam, pod smrekiem, człowiek w potarganej koszuli juhaskiej, z poszarpanym pasem, cały we krwi, z polepionemi od niej włosami, podrapany, z dziurami po ciele, jakby go kto na bronie włoczył. Dobrze się namyślali, co zrobić, czy przystąpić, czy uciekać, tak ich strach zdjął.

— Nic, jino sie djaboł wścióok — powiada Cypek.

— Abo sie mocował z jakim duehem i zmóg go — powiada Tylka.

— Ej! — mówi Tyrala z Kościelisk, bo on ta

rad w takie rzeczy wierzył — ja wiem! Cy je pote nie tén, co grzyhy swoje, jako zywe miéso, na ramieniak nosił i zembami targał?

— Abo cosi kogo pobiło? — mówi Capek.

— Abo wto wié, cy pote djaboł cłeka nie udu-siél ka i haw nie prasnon? — powiada Tylka.

— E! — mówi Tyrała. — Ze cozby haw do rania ś nim po lesie jeździł?! Cy ty myślis, ze to tak, jako w karcymie, kie sie dwa weznom wodzić za lby? Zły duk nie potrzebuje, jino cie tknoné! Durknie do tobie palce — toś juz hań!

Ale stary Jędrzej Sieczka, mądry chłop, nie gwarzy nie, tylko patrzy i siepnie się:

— Co ta pleciecie figle! Fafrosy! Ja tego hłopa mam skądsi znać. Pockajcie mo! Słonko prawie zaświeciło jasno, przypatrzem sie mu.

Przyjdzie, patrzy, krzyknie:

— E dyć to dziki juhas z Jurgowa! Widzia-łew go nie raz i nie dwa! Nie tak, ale musiał ogłupieć i nik haw tego montu nie narobiél, jacy on sam. Zdziurawiél se piéknie piersi, syje, gębe, rence na sękak. Taki je jak sito! Ale co sie mu stało? Ludzie na świecie!

— Ale ze to bél hłop! — mówi Tyrała, bo się już dośmielili wszyscy za Sieczką ku niemu podejść.

— Dziki juhas? Luptowski? Ja go znał — powiada Tylka. — Tén, kieby cie bél do garzei dopad, tobyś był haet w powietrzu zembami pięty

gomiół! Widziałek go na jarmaku w Lewocy, kie se konia na ramieniak nosiół, jak jarke.

— Hej, spotkałew go i ja kielka razy — mówi Sieczka. — Raz se na śpas koło młyńskie zahamował renkom w Saflarak. My prawie jehali z miasta. Młynarz leci — ki sie djabli zrobiło?! — jaze sie przegnał, a ten trzimie i śmieje sie wereda. Co mi das? — pada — to ci puscem. Musiał mu dać dwa cwancygiery, jino ze to nie biédny cłek, ten Kamiński w Saflarak.

— Ojce Siecka, sliście! — odzywa się Tylka. — Mnie sie widzi, ze on zywy jesce! Drga!

Nachylił się Sieczka, a on właśnie, ten juhas, oczy otworzył i szepce: Hej, co mie zmogło? To dwoje: dziewczka i las...

I umarł.





JAK JASIEK Z USTUPU, HANUSIA
OD KRÓLÓW I MARTA UHERCZY-
KÓWNA Z LIPTOWA ŚPIEWALI
W JEDNO SŁONECZNE RANO KU
SOBIE



Jasiek z Ustupu szedł z ciemnych smreczyn ku Zaworom. Z lasu on wychodził czarnego, gdzie taka głusza leżała, że aż bojno było posłuchać. Nie się tam nie odezwało, tylko dzik zaszuscił w maliniakach, jeleń zbeczał gdzie przy wodzie krótkim, urywanym, gwałtownym bekiem, albo cietrzew zafurczał w gałęziach. Na prawo od Jaśkowej drogi huczała sikława z niżniego Ciemnosmreczyńskiego Stawu w Piardzystej Dolinie. Tam kóz moc. Po Pośrednim Wiérchu, po Cubrynie, po Liptowskich Murach chodzą kierdelami, jak owce.

Kozicki, kozicki, wtoređyz hadzajom?

W Dolinie Piordzystej, tam one bywajom!

— jest śpiewka.

Sucha, od piorunu uwiędła, czerwona limba po pod Zawory rośnie, tam idzie Jasiek z Ustupu, a śpiewa po wesołemu, ze zbójecka. Ale od zbójeckiego wesela do szubienicy zawsze nie precz.

Co zbójnik krok ukroczy, to ku niemu śmierć krokiem bliżej. Tak on śpiewał:

Ej moja freirecko, nie załuj mi gemby,
Ej bo mi juz śmierztecka wysycyrzuje zemby!

Ej moja freirecko, nie załuj mi dudka,
Ej bo mi juz hań zwoni na zomecku kłódka!

Ej moja freirecko, nie załuj mi licka,
Ej bo mi sie hań z wiérsku iskrzy siubiénicka!

Ej moja freirecko, nie trzymaj mie w sieni,
Ej bo mi juz na truchle tén jedlicke ścieni!

Ej moja freirecko, nie załuj mi ciała,
Ej bo mie pohowajom, ty bedzies plakała!...

Ej ha!...

Myśli on sobie tak śpiewając o Hanusi Królównie, która się w nim mocno zakochała i niczego mu nie odmawia, owszem, sama się tuli i, choć się wstydzi, nie może westchnień miłosnego pragnienia zatłumić, kedy są ze sobą na szopie przy Gąsienicowych Stawach. Tam ona pasie krowy piękne, cisawe i czarne, siwe i czerwone. Nazywają się Brzezula, Cisula, Kawula, Łaciata, bo wiele na niej lat białych, czarnych i żółtych, Siwula, i rozmaicie jeszcze inaczej. Piękne to są krowy, do-

brze się pasą i dużo dają mleka. Miło jest patrzeć, kiedy, pozberkując spiżowemi dzwonkami, stąpają po zielonej trawie i mechach pomiędzy koso-drzewiny, skubią trawę i mech, lub ległszy rzędami, przeżuwają połknięty pokarm. Poją się one w czystym potoku, co z Zielonego Stawu z pod Świnnicy płynie, a na noc zamykają do szopy, na strychu której jest posłanie Hanusi. Zaszła ona teraz het aż na Liljowe, poзира ku Tatrom i śpiewa kochająca:

Janickowa krasa rada owce pasa,

We dnie po dolinie, w nocy při dziewcynie...

(Ale obecnie odbiegł on owiec w złodziejskim interesie na Liptowie koło Hradku).

Nie było, nie było nad wirsyk zielony,
od orawskiej strony cisem porośniony.

Nie było, nie było nad Jasia mojego,
kiek go uwidziała z wirsku zielonego.

Kiek go uwidziała, jaze mi zagrzmiało,
to moje serdecko skrzydłem sie mi stało.

Skrzydłem sie mi stało, skrzydłem poleciało,
Na Jaškowej ceście słońcem zajaśniało.

Poziórojcie, dziewczki, poziórojcie w pole,
Jako se Janicek idzie między skole.

Darmo wy sie, dziewczki, w niego wpatrujecie,
Bo on ino jedne mnie widzi na świecie,...

Wiedziała ona, że ku Jaśkowi wiele dziewcząt we wsi serce obraca. Niewiedziała jednak, że w polanach popod Krywanem, pod Doliną Ważeczką, z kąd widać wysoki, pochylony, zielony szczyt Krywania, potargane turnie Ostrej i Krótkiej i wyniosły, zębaty grzbiet Soliska, gdzie rosną ogromne trawy, człowiekowi pod pachy, i moc ziół i kwiatów bujnych i woniejących, swobodnem słońcem z ziemi dobytých: piękna i smutna Marta Uherczykówna, (z pokolenia tych Uherczyków, z których jeden Janosikowym towarzyszem był i przy jego boku w walce z żołnierzami cesarskimi zginął), serce swoje i młode gibkie i pachnące żywicą ciało ofiarowała Jaśkowi na miękkich mchach w podkrywańskim lesie, w południową spiekotę słońca, kiedy moc ludzi odchodzi, a członki same się wrywają do uścisku. Opowiadał on jej o swoim bogactwie, jako mu się sto własnych owiec po Kościelcu pasie, strzeżonych przez psy wielkie i silne, których jest sześć. I tem bogactwem ją zalśnił i przyniewolił. Naprawdę zaś miał on owiec sześć, a psa żadnego. Ale używszy jej skuszonej opowiadaniem krasy, odszedł i, co

miał powrócić, nie wrócił. Więc piękna i smutna Marta Uherczykówna, której leca smagłe wyhodowała zimna woda kryniczna z Ważeckiego potoku, a okrągłe czarowne biodra wykołysał wiatr z Krywania wiejący, zna swoją dolę i śpiewa pełna żalu:

Hej Krywaniu, Krywaniu
wysoki!

Płyną, lecą zpod ciebie
potoki! —

Tak się leją moje łzy
jak one.

hej łzy moje, łzy niezapłacone...

Hej Krywaniu, Krywaniu
wysoki!

Płyną, lecą nad tobą
obłoki —

Tak się toczy moja myśl
jak one,

hej te myśli, te myśli stracone...

Hej Krywaniu, Krywaniu
wysoki!

Idzie od cię szum lasów
głęboki,

a mojemu idzie żal kochaniu — —

hej Krywaniu, Krywaniu, Krywaniu!...

Zaś Jasiak z Ustupu, rad z siebie i wesoły, jako zwykle parobek góralski, któremu się wszędzie równo zdaje i który się nieczuje idąc, wyszedł był właśnie na Zawory i pogląda ku polskiej stronie. Mało ma już drogi; przekiełźnie po zboczach pod Walentkową, śmignie po trawach popod Świnnicę i już jest na Liljowem, z kądem widać szalasy przy Stawach Gąsienicowych i szopę Hanusinę, gdzie jest słodko spać, a słodziej jeszcze nie spać. Rozjrzał on się wkoło i tak sobie zaśpiewał, aż zahuczało po Gołych Wierchach nad Wierchcicha i Koprową Doliną:

Hej! na mojej polanie sto owiecek stanie!
Ty moja dziewczyno, poziéroj se na nie!

Ej polana nie moja, owiecek nie było,
Ej ale mie śwarne dziewce zalubiło.

Kohała mie jedna w podkrzywiańskim lesie,
Druga mi od Stawów serce w piersiak niesie!

Cekoj ze mie, Martoś, w Ważeckiej Dolinie,
Bo mi Hanka z zolu dobrze nie zaginie!

Wyziéroj mie, Hanuś, przy tym Cornym Stawie,
Bo mi pod Krziwaniem kwiotek zróst na trawie!

Kany sie wywine, kany sie obróce,
Jedne se pociese, drugom se zasmuce!

Nie bedem pas owiec, niebedem robiel nic:
Minon mie Mikulas, cos mi powie Wiśnic?

Ej niek mi ta powie, jako mu sie fciało;
Mojej fantazyji siedem zomków mało!

Powiadali na mnie: popuść fantazyjõm!
Jo jej nie popuscem, hociaj mie zabijom!

Niek mi kat sablicku na osełce brusi;
Dy i oreł w niebie jedno zginoné musi.

Bruś ze mi, kacicku, sable na osełce:
Lepi brusi dziewce serce swe o serce!...

Tak on śpiewał, bardzo śmiały i niedbający o wiele, ani o dziewczyny, których Pan Bóg nasiał po świecie, jak jodeł, ani o życie własne, które i tak zabierze, a dbający tyłkó o honorność i uciechę życia. Tak śpiewali ku sobie w jedno słoneczne rano Jasiek z Ustupu i jego kochanka Hanusia od Królów i piękna i smutna, woniejąca żywicą Marta Uherezykówna z Liptowa, która na mechach podkrywańskich swoje młode ciało z miłości omglewające oddała.



FRANEK SELIGA I PAN BÓG



Był chłop, Franek Seliga, na bani w Magórze robił; rudę kopał. Piękny był taki, że kiedy wsiąszedł, kobietami potrzasało. Dumny też był z tej urody strasznie, rozzuchwalony, a jeszcze i z tego się pysznił, że się ze szlachty wywodził, bo takie jest opowiadanie o Seligach i Zychach z Witowa.

— Jo jest ze ślakty — mówił.

— E, jesce wte Cygani nie kradali kieś ty ślakcice bée! — śmiali się z niego.

I był w Kuźnicach pan Walewski, rachmistrz, który miał córkę Anielcię, tak śliczną, jakiej jeszcze na świecie niebyło. Spodobała się ta panna Walewska Frankowi Selidze.

— Ta by sie ku mnie równała — mówił — te loz by nas z jednego saka wyjeni, jak dwa pstrągi.

I co już pierwiej elegant był, to teraz temu miary zaczęło niebyć. Czucha na nim czarna, długa, szeroko czerwonym sznurkiem bramowana, portki niebieskim sznurem w dziewięcioro wyszyte, kiedy najgrubszy gazda jak już w pięcioro dał wy-

szyc, to się sam po sobie oglądał; kórpce jasne, żółte, kapelusz z małym skrzydełkiem z kostkami, pióro z głuszcza za nim. Do kościoła do Nowego Targu w niedzielę panna z ojcem jeździła; tam Franek Seliga taki strojny chodził. Najgorzej, kiedy było błoto, bo już niewiedział, jak iść. Więcej uskoczył z kamienia na kamień, niż upiętkował. Ale on był lekki.

Ustał pić, ustał palić, nie, tylko pieniądze składa, a stroi się. A w kościele, u Świętej Anny w mieście, żeby niewiedzieć ile ludzi było, potrafił on się przepchać ku ławce, w której panna Walewska z ojcem siadała.

Już tam Panu Bogu on się wtedy nie uprzykrzył. Mało wiedział, gdzie jest, tylko se głowę podźwigował w górę, że to jest taki cudowny, a popatrywał na pannę. Ona się też ku niemu czasem z nad książki spoglądnęła.

A Franek sobie to najlepiej tłómaczył, bo strasznie podufały i wszystko o sobie trzymający był.

— Zalubięła mnie — mówi. — Niémogło inaczej być.

— Wto?

— Janiela.

— Jaka Janiela? Mostowego?

— Baj to!

— Wietrznego Kuby?

— Baj to!

— Krzeptowska?

— Baj to!

— Ze to wtoraz by haw béła? Maćkowej Bron-
ci wydana, Staseckula wydana, na Gładkiém ob-
starna, nie ku tobie — — je kaześ ty haw jesce
wtorom Janiele nalaz?

— To je niejest dziewczka, to je jest panna.

— Panna?

— Panna.

— E dyś ty hłop.

— Baj to! Ja jest ze ślakty.

— Hej! Z takiej, co z obory wykiduje!

— Niegze ta!

— Ale powiédze, Franek, nie gadaj głupstwów:
wtoraze to ta Janiela, co cie zalubiéła?

— Walewska.

— Z Kuźnic?

— Ba haj.

— Cyś ogłupiał?

— Nie ogłupiałek.

— Ona by cie miała zalubić?

— A ino.

— Cy cie odymiło?!

— Nie odymiło mie ta nijako.

— A hojby i tak béło: bees jom to brał?

— Bedem.

— Eé! Dadzom ci jom! Kiebyś hoć organistym
był, abo cosi kajsi. Ale coześ ty? Sprosty hawiarz
i telo.

— Alek piékny do cudu.

— No jużci prawda, to ci nima co pedzieć, djaboł sie tobom nie ocielił, ale skondze wiés, ze cie zalubiéła?

— Poziéra ku mnie.

— Iści! to i liska poziéra na grule, a nie bedzie ik jadła.

Przyjdzie Franek do Kuźnic w sobotę po wypłaty, czy kiedy, to już tak wypatruje, to już tak študeruje, czyby jako tej Anielci nie zobaczyć? Bo i ona się jemu strasznie w serce zakradła. No i tyle wyśpekulował, że się do niej przecie nablížył i czasem nie czasem jakieś słowo przepowiedział. Ona to choć niby panna była, to tam znowu bardzo od niego nie odlatywała; w sukieneczynie tylko w niedzielę i we święto chodziła, zresztą spodnica na niej zwyczajna, na głowie chustka, a buty ta też nie zawsze pod nią cupkały.

Boso się jej zdarzyło wylecieć nie raz i nie dwa. Tylko że jej już niemożna było mówić Anielciu, ale panno Anielo, bo ojciec za rachmistrza służył i tak przykazywał.

Póki to tak było na daleko, że się tylko ku sobie spoglądali, to nic, ale poszła raz Anielcia na borówki w Olczysko w jedną niedzielę i tam się za nią Franek Seliga przykradł, bo on do tego jedyny był. Hej! były też usta na ustach, ręce po za plecy — — wydarła się.

Dopiero się teraz Franek Seliga wściekł, bo się

tęgo jeszcze dowiedział przy tem, że onaby się za niego i wydała, tylko żeby ojciec pozwolił.

Ale nie upłynęło paru dni, potrafiła mu Anielcia odkazać, że ojciec ani słyszeć o niczem niechce, że jej upatrzył krawca w Sączu i że tam ją wyda za mąż. I tak jeszcze powiedział, że choćby mu się świat cały do nóg walił, to go to nie zmieni i na Pana Boga się przysiągł, że z tego nic nie będzie. Gniewał się strasznie, krzyczał, powiedział, że ją do lamusa zamknie, gdzie pieniądze chowali, a Franka jak psa zastrzeli, żeby się tylko nablżył.

I czy ją do lamusa zamykał, czy gdzieindziej, dość, że jej od tego czasu Seliga nie widywał, a tylko przez służącą wiedział, że ona go kocha i że do niego tęskni.

Bardzo mu to pochlebiało, ale go i żal brał okrutny za nią.

I tak mu jeszcze odkazała, że ludzie tu nie pomogą, chyba Pan Bóg.

— Hej wiera! — myśli Franek. — Dy Pan Bóg wsekmocny, kiebyk Go pięknie popytał, cyby mie tys jako niè spar w téj biédzie?

Niebyło kościoła blisko, jeden w Chochołowie, drugi w Szaflarach, ale była kapliczka murowana z mosiężnym daszkiem, a oko Opatrzności w niej, wyrobione z drewna i pomalowane.

Stało to przy drodze.

Idzie Franek ku kapliczce, zdejmuje kapelusz,

klęka i tak się modli: Panie Boze, jakbyś mi dopomóg w tém strapieniu, to ja ci telo śrybła do kościoła w mieście okfiarujem, kielo do obu garzci nabierem. Skond bedzie to bedzie, cy ze ziemie wykopiem, cy z morza wyłowiem, cy z Luptowa prziniesem, cy z kase hamerskiej ukradnem: to sie Ty juz o to nie staraj. Nie Twoja głowa w tém, jino moja. Tyś ta jest wsekmogoncy, to Ty to w ocymieniu sprawić mozes, kiebyś ino fciał, ale ja juz i do tyźnia pocekam, cobyś jino sprawiël, a pytam cie bars piéknie, odmieñ serce w panie Walewskim, coby sie nam nie prociwiël. Amen.

Wstał i poszedł.

Kopie rudę, kopie, czeka, ale nic. Tyle mu służka doniosła, kiedy w sobotę z bani zeszedł na dół, że się pan Walewski jeszcze raz rozgniewał na córke, że ją i wybił po plecach „lajstokiem“.

Tydzień właśnie minął.

Idzie Franek znowu pod kapliczkę, klęka, zdejmuje kapelusz i tak mówi: Panie Boze, tydzień minon. Cok przyobiecał, dotrzimiem. Jakeś ta moze cémsi iném zatrudniony bël, niegze jesce bedzie do tyźnia. O tydzień zaś zejndem z banie dolu. Barz Cie piéknie pytam, ale nie śpasuj, bo se mnom śpasów niéma. Kiebyk niewiedziol, ze sytko mozes, tobyk Cie ta telo nie nukał, ale kie mozes, to mozes, uróbze, bo tu przecie nie idzie o nic jino o scyńście. Amen.

Upłynął tydzień, nie dowiedział się Franek Seliga, aby się serce w panu Walewskim odmieniło.

Idzie trzeci raz ku kapliczce, klęka, zdejmuje kapelusz i mówi: Panie Boze, kiebyk ku Tobie z próznemi rencami seł, to hej, ale dyjek Ci przecie przyobiecał i dotrzymiem, jino sie haw robota w jesieni skońcy. Nie trza długo cekać. Wiémy juz o jednym Zydku przy Popradzie, w harendzie. Pytam Cie barz pięknie i zaś Ci jesce tydzień przycyniem, ale nie śpasuj, bo se mnoom śpasów niéma. Amen.

Wyczekał się Franek; nie.

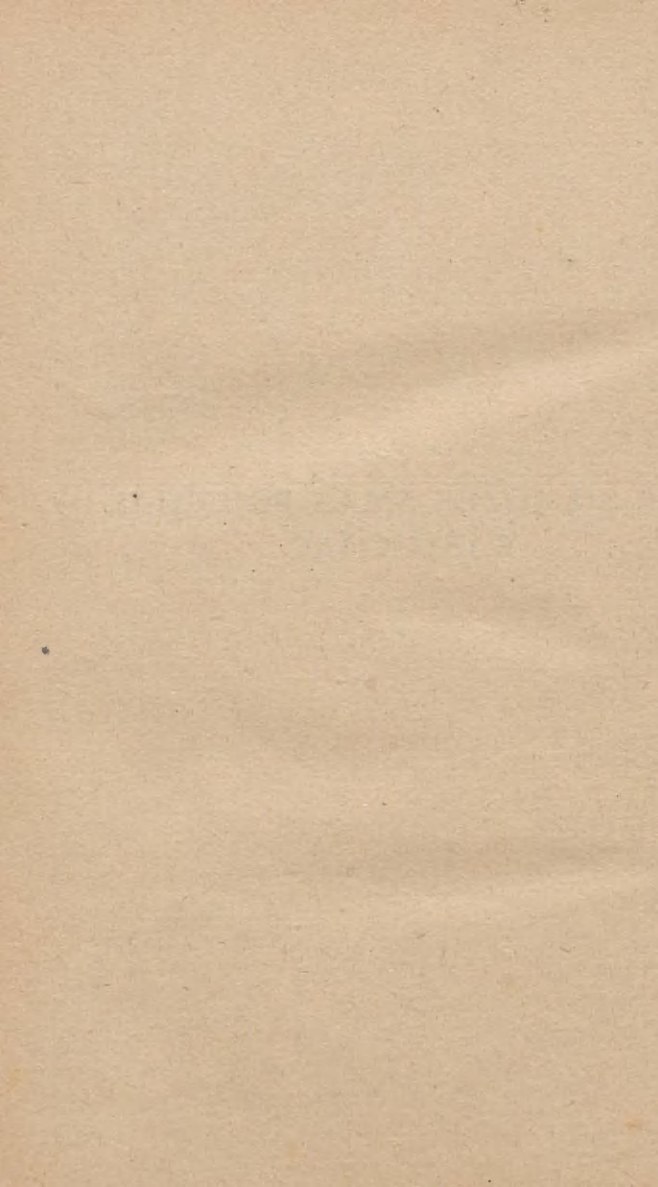
Idzie tedy czwarty raz ku kaplicy, zdejmuje kapelusz, ale już nie klęka i mówi: Panie Boze! Coześ tak na uwziętego se mnoom?! Nie bedem Cie juz pytał więcył, bo wídze: darmo. Wadziel sie tyz s Tobom nie bede, boś na niebie, wysoko, a ja nie oreł.

Ale Ci nie nie okfiarujem, a jesce Ci na despet zrobiem, kieś taki nieusłuhany. Kie na uwziętego między nami, to ja ta tyz cosi kajsi warcem!

Ułożył kopczyk z kamieni, wyspinał się, podważył ciupagą daszek i strącił go z kapliczki na ziemię.



JAK SIĘ JÓZEK SMAŚ POJECHAŁ
WYSŁUCHAC



Józek Smaś Solicarz od Mrowców z Olezy, wielki to był strzelec, a większy jeszcze zbójnik, zaciekły i zajadły, bo nie z potrzeby, ale z ochoty. Ale największy był on bezbożnik. Nigdy na „Pokwalony Jezus Krystus“ inaczej nie odpowiedział, tylko: „Niekze ta, niekze ta“, albo „Niekze se będzie. Ja Mu sie nie przeciwiem“ — co mu nawet nie krócej, ale dłużej, niż „Na wieki wieków. Amen“ wychodziło. Jeżeli jako strzelec równał się ku Jankowi z Jurgowa, który od Hawrania przez Litworowe aż po Kościelec kozy niszczył; jako zbójnik ku Jankowi z Brzezawicki, o którym śpiewali:

Na wysokim wirsku krzesom siubienicki;

Wtoz hań budzie wisiol? Janko z Brzezawicki! —

to jako bezbożnik całkiem on był jancykryst. A co przy tem było dziwne, że był bogaty gazda i wszystko mu się wiedło, do wszystkiego szczęście miał. Nijakiego waloru biéda ku niemu nie miała. Tak mu się wiedło, jakby mu Pan Bóg

umyślnie błogosławił, a on nigdy może nawet w kościele niebył, chyba wtedy, kie go kścili.

Nie, żeby już tak do imentu niewierzył, ale nie o tem wszystkim wiedzieć niechciał.

— Ja ta niewidzem — mówił — coby sie Pan Bóg do mnie wraoł, cos ja sie Mu ta bedem popod ręce plątał? Zasjejem — zeżre mi; nie zasiejem — niebedzie nie. Pojem — nie głodnyk; nie pojem — to sie mi jeść fce. Zyjem, bok sie urodził; umrem, bo przyńdzie śmierć. Wiém, ze góry som jest niemale, bok bez nie seł; wiém, ze drzewo twarde, bok je rąbał; wiém jako ogień pali, woda gasi, ale o Panu Bogu lemze telo wiém, co o tym królu, co se ta we swojej stolicy kasi władze. Ja ta ku temu, co ku mnie nie idzie, nie wartki.

Dufny to w siebie chłop był, obrotny, mądry, a strasznie śmiały.

Mimo tej bezbożności ludzie go kochali, a to dlatego, że dobry był; nikomu krzywdy nie zrobił, pomógł w strapieniu, mądry był do rady i mowny, a już jak jakie dudki zkał do chałupy przyniósł, mógł pić kto chciał i ile chciał. Nie z samej Olczy, z Pardółówki, z Hrubego, ale ze Zakopanego, z Poronina, z Murzasihla, z Cichego i z Bukowiny ludzie się schodzili do karczmy, gdzie pić lubił kiedy się zwiedzieli, że z pieniędzmi przyszedł. A on się w tem cieszył i często nie rzadko komu na krowę, na konia, na siacie dał.

Ale się wiedło i przewiedło. Nie młody już był, bo miał koło 55 lat, zaskoczyła go przy Zmarzłym Stawie pod Polskim Grzebieniem na polowacze kurniawa, wiatr, śnieg, mróz; trzy dni i trzy noce pod skałą przesiedział, bo iść niesposób. Tyle dobrze, że jeść tam jako tako ze sobą miał. Przyszedł do domu, rozniemógł się. Dopiero się teraz zaczęło odzywać: w grzbiecie łapa niedźwiedzia, co go nią zdzielił pod Rohaczami, nim na drzewo zdążył uciec; w kolanie, w prawej nodze, kamień, co się gdzieś w Młynarzu urwał w żlebie i w kość trafił; w boku żebra potłuczone, co go Spizacy przy Pięciu Stawach Węgierskich oklepcami na kozy dotłukli; w głowie dziury od bitek z młodości. Zaczęło łupać po kościach, wiercić, łamać — bieda było wytrzymać. Spadł z ciała, zesłabł, trudno było z pościeli zleźć.

Niedźwiedzie, świstacze sadło czy to na wewnątrz, czy smarowane, nic nie pomogło.

Przyszła baba, stara Katarzyna Magierka od Janików, okadziła go — nic. Przyszła druga baba, jeszcze starsza, Trzebuńka, zamówiła, zaczęła — nic. Niepomógł i Kubuś Bednarz, co mu już sto lat było, choć mu owce, krowy, konie pod rękami zdrowiały.

Dopiero się zejdał baby sąsiadki radzić; siadły koło łóżka.

— Ej kumoterku, kumoterku, jus wy ta wnet dojndziecie, dojndziecie — powiada jedna.

— Hej, swoku, niewiemy wam jus poradzić ni-jako — powiada druga.

— Niwto haw jus nie poradzi, moi miéli, jedna śmierć — powiada trzecia.

— Ej, kumoterku, kumoterku, trzaby o dusy myśleć.

— Coby zaś pote późno niebyło, swoku.

— A wtoz wié? Nieraz tak bywuje — mozeby i popuściło by kielo telo po komuniji świentéj.

— Wiera, dobrze padacie, kumosicko. Cobyście tys, kumoterku, dali sie wysłuchać.

— Przed Matkom Boskom cudownom w Ludzi-mirzu.

— E dy ta jest i w Odrowążie, padajom, cudowna — odezwał się Smaś, któremu się Odrowąż lepiej podobał, bo dalej, a to już zbójecka i myśliwska natura, jak iść, to daleko.

— Hej, moi miéli! Ona ku ludzimirskiej ani za kuharecke nie warce!

— Jedźcie, swoku, wysłuhajcie sie!

— O jedźcie tys, jedźcie, kumoterku, a pilno, ponaglajcie sie, bo cas!

— Jedźciez, jedźcie, moi miéli!

— Djaboł ku wam niebedzie miał przystępu, a on haw nie prec bedzie!

— Hej, dobrze padajom kumosicka, oni ta wse mądrze radzom. Nie prec, nie prec!

— Kiek haw wcora z domu sła, moi miéli, ta-

kie mi carne kocisko z pod nóg zmyrgło. Jazek sie wzdrygła!

— Djaboł nawoli w kota.

— Ej, kumosicko, widowali go juz ludzie i w psiej skórce.

— Ale sie mu za kota obrócić naracéj widzi.

— Je cos ta takiemu? Co fce, potrefi. Djaboł i djaboł.

— Kie Symek Mrowca konał, to sie zaś objawił za wilka. Tu! tu! popod hałupe przesel.

— Ej raty!

— A po cymze go poznali, co je nie wilk prawdziwy?

— Ej ci juz wiedzieli, co poznajali! Pono w nurze miał ogień. W nocy to béło.

— Ej raty!

— Nie wysłuchał sie to stary Mrowca?

— Nie dowieźli mu ksiendza. Konie staneny w zaspak.

— Ej! wiécie! to ta juz nie wto iny sprawiél, jino jacy on, ten wilk.

— Tak tys ukwalowali sytka, ze nie co ine, jacy on.

— Hej! Panjezusicku nasłodsy!

— Maryjo Przecysta!

— Sysey janieli, jacyście ta ka jino po niebie!

— Kumoterku, kumoterku! jedźcie sie wysłuchać! Nic juz s was! Ino patrzyć!

— O nic! nic! Zbiédliście! Pól was ubyło! Skapiecie!

— Jedźciez, jedźciez moi miéli, ono wam ta juz nie przepuści tém razę.

— Wiera ze nie

— Ej nie!

I jak zaczęły nad nim jajczeć, a biadkać a sklamrzyć, zdecydował się Józek Smaś do Pana Boga do Ludzimierza jechać.

Uchwalili na odpust, ósmego września, w samo Narodzenie Najświętszej Panny.

Ustały deszcze, co tego sierpnia lały bardzo, zaraz się Józkowi lepiej zrobiło, przestało go tak strasecznie łupać po kościach.

Wstał z pościeli, umył się, włosy masłem wysmarował, czysto się oblókł, kapelusz nowy, czucha nowa, serdak nowy, portki, kerpce, jak na wesele. Radowały się baby, co go namówiły i jechać z nim miały; żony już nie miał, wdowcem był. Ale się dopiero zadziwią! — bo tu przed chałupę zajężdża wóz, a we wozie skrzypkowie dwaj, basisty — jak na wesele! A dopiero gęby otwarły, kiedy Smaś pistolety dwa za pas, noże dwa, do garści ciupaga, a przez ramię flinta.

— Zjeć, bójcie się Boga, kumoterku! Cos wy robicie?!

— Djabłów zjadło, swoku! Dy to przecie nie na kozy!

— Ani nie w Luptów, na dudki, moi miéli!

A Józek Smaś oparł się na ciupadze i powiada: Nigdyjek ja nie seł inacyj ku niwtoremu panu: dziedzicowi, derektorowi, kaserowi, kupcowi, abo co feiało, niek béło! A dy przecie, padacie, Pan Bóg nawięksy ze syćkik! A hoj ta po inksym interasie ku Niemu jade, niegze Mu nie ublizem, ze telo ku mnie nie płaci, co hojwtory dziedzic, abo i gazda, abo i Zyd psia para, cok ku nim we zbroi seł. Niegze Mu to nie bedzie krzywo, niek se nie krziwdzi. A ze to sie mamy jednać, to muzyke bierem, coby wiedział, ze nie załujem na ten zgo-de i zapłacem. A niegze i to wié, ze kie On gazda na niebie, to ja ta tés niezgorsy na swoim, w Oley. Moze On mi pierunem zagrzmí, to ja Mu zaś ba-sami dam odbrzęceć. Haj!

I pojechał. Na jednym wozie na przodzie muzyka, na drugim on z babami.

Patrzą ludzie, dziwują się, przejechał wsie kunowotarskie, na Zaskalu skręcili do Ludzimierza, jadą. Raniutko wyjechali, dobrze na czas zdążyli. Ludzi moc, odpust ogromny, krzyk, gwar, ścisk — a co kto spojrzy, to się dobrze nie przeżegna! Tu muzyka na przodzie, za nią stary chłop, siwy, pistolety za pasem, lufa mu się z za ramienia świeci, patrzy śmiało, jak orzeł, choć widno po nim chorobę.

— Je cos to takiego!? — pytają się jedni drugich. — Wtoze to taki?

— Jakisi Podhalan, z tyk skrzydlatyk, be ka



z Wirhbukowiny, abo od Kościeliska — mówią inni.

— Z flintom jedzie.

— Moze jaki leśnicki wto wie skąd?

— Zeć tu niejeden leśny, abo leśnicy prziseł, a bez to przez flinty.

Dziwowali się, niemogli na nic myślą przyjsć. Zajechał Smaś przed kościół.

Thum koło niego. Czarno- i Białodunajczanie, Szaflarzanie, z Ostrowska ludzie, z Pyzówki, z Wróblówki, z Podczerwiennego, z Koniówki, z Pieniążkowic, z Odrowąża, z Ochotnicy, z Niwy, z Lasku, z Klikuszowy, z Łopuszny, z Sieniawy, z Krauszowa, z Rogoźnika, z Długopola, z Maruszyny, z Morawczyny, z Rabki, z Nowego Targu, z całej okolicy, i z dalsza, od Suchej, od Żywca, od Wadowic, od Myślenic, i z dalej z Orawy, ze Spizu, od samego Kubina, od samego Kiezmarku. Tysiące. Ale między nimi wszystkimi Smasia z Olczy znać.

Mało w kościele miejsca było, księża słuchali i za kościołem pod lipami. Usłyszał jeden młody muzykę, bo Smaś ustawać grać bronił, porwie się ze słuchanicy, odtrzepnął od siebie babę, co ją słuchać właśnie skończył, skoczy, patrzy — jak krzyknie!

Różnie ta skrzycał; żywy ksiondz beł.

Ustali grać.

— Coście wy za jedni?! — woła ksiądz. — Co tu chcecie?!...

Wyjdzie Smaś na przodek — baby za nim, kumoszki — zdejmują kapelusz i powiada:

— Niewiem, jak ta do was mówić: jegomość, ociec, cy jako, bo ja ta tego nie ucony, anik ta z tém nie rabił, ba u mnie kościół Gierlak, a zwnica Lodowe. Ale mie baby namówiły, wysłuhaj sie, padajom, tostok sie przyjechał wysłuhac. Jak wam wóla, to ja gotowy.

Potruchlały baby sąsiadki, bo go uczyły przez drogę i co grzechy i jak się spowiadać trzeba i jak pięknie do duchownej osoby mówić, a ten tak po swojemu, ze zbójecka.

Ksiądz też oczy otworzył na tę przemowę, a ludzie dookoła aż się zakolysali tłokiem.

— Jagze? — pyta Smaś.

Kazał mu ksiądz broń odrzucić.

— To jus tak na raty kazujecie? — powiada Smaś. — E dy ja myślał, co mi tu w nawieńksym ryństunku przyńść trza — ale niekta juz bedzie, jako fcecie.

Rozzbroił się; oddał pacholcowi, co za nim szedł.

Ksiądz się kazał ludziom rozstąpić.

— Klęknijeie tu — powiada do Smasia.

Klął Smaś.

— Ja was haw nie zabawiem długo — powiada — bo tu widzem kieloro ludzi. Juz mie to ku-

moski zucyły, jakie to té grzyhy, a ja ik haw nie-
bedem miał korzec, ani ćwierć. Lem słuhajcie.

Kraśćek krad, alejek wse hudobnym dał z rabunku. Niejednemu jek nogi wprawieł, co dobrze sozrembu głowom nie dopadnie. Teli zróś. Anik ta nigda we swojěj stronie nie zbijał, ba ka inéndej, po Wengrak. Bićek bił, alek sie nigda na słabego nie zruwał. Raz mie jedna wereda, takie to małe béło, od wojska przisło, w łeb wyciena, tok — przepytujem piéknie ik miłość duhownom — za brzuk i za kosule na garle ręcami ujon, obróciłek to nogami do góry, wstawiełek do smreków głowom dołu i posełek. Nie tknonek sie! Dzwierzęciu ja nie wyrządzał nigda, nie okalicyłek go, héba na polowacce, ale to myśliwskie prawo. Nie pokłamałek nikogo, nie zraziłek nikogo, wsejek wierności dotrzymował, cy my co ka ukradli i sowali, cy sie na bitke smówili, cy cosi kajsi. Nigdyjek towarzisów cy przy dzielbie po rabunku, cy przy świstakak, nie ukrziwdził, jescek ze swojego dołożył, jak to biédne béło. Pićek pił, ale to s tego skody nijakiej niebywało, ba jesce karemarz zarobił. Zabić ćłowieka, to jek zabił, ale bez potrzeby nie, ba końcem trza béło, bo sie to do bitki brało, a tu, sami dobrze wiécie, zbójnik nima wiele casu przy rabunku. I jus nie bacem, cy ta dwok, cy trzok, bo to béło dawno. Pote mi sie jus nie trefiło kiela cas. Telo na mnie tyk grzyhów; mało, nie duzo.

I co się nie zrobiło: wyzdrowiał Smaś. Ale już zbójckiego rzemiosła zaniechał.

— Jesce mi nie tak to, co mi ta ten księżyk napędział, hoć fajnie se mnom ugwarzél, o piekle mi uradziél telo, co jaze cud radość béło słuchać, ani ta pokuta, co mi jom wsuł, a godnie ta tego béło wsute, do rozumu wjechało: jako to, cok ozdrowiał. Bo on mi ta, ten księżyk, gwarzi, gwarzi, jakie to ta djabły w tém piekle, jako duse warzom we smole, jako kléscami targajom, po klińcak włócom, a ja se myślał za ten cas: hej! seleniejako mie ta prógowało za zycia, to ja sie i tyk djabłów po śmierzci nie bars bojem. Nie-wiem, cy som jest ciętse hłopy, jako śpiscy hłopi, a przecie mie ci w rencak mieli, a wysełek. Ty ta górala, a jesce myśliwego i złodzieja, djablami nie stras, bo on dość djasków wse uświacy. Przy-dzie kurniawa we wirhak, zasuje cie; z niedźwiedzie sie sprógujes; Luptacy, abo hajduki cie przisiednom: cy nie djabły? Ale jek se to mészłał: jak mi Ty dopomozes, Panie, Boze, co pozdrowiem, to jek Twój.

I ono sie wej tak stało. Świstace, niedźwiedzie sadło nie zdolalo nic, babskie, hłopskie cary, zamówienia, odcynienia nic, a On, Pan Bóg, zdolal. Tagek se pedział, kie mi ta ten księżyk nakazował, jako to Panu Bogu zbójectwo przemierzle: pozdrowis mie, Panie Boze, juz tys więcył, w Luptów nie pude. Nie bedem więcył zbijał, kie sie

Ty w tym tak nie ciesys, ba Cie to wrodzi. Haj.
Bedzies Ty se mnoom dobry, tak tys i ja s Tobom.
Ja vse taki beł: kiek bół s kim zły, to nie daj Bo-
ze! Jaze mi płomienie biegały po ręcak. Kiek zaś
s kim bół dobry, abo my udobrowali ze sobom,
pojednali sie: to u mnie jedno słowo, tak jako
i u Niego, hań w górze, nad obłoke.

O BARTKU GRONIKOWSKIM
RAUBSZYCU

Miał Bartek Gronikowski z Bukowiny „swoje“ dziesięcioro przykazania, choć ik ta tak do znaku niebyło dziesięć.

Ja jest twój las, cobyś po mnie hodziół, ka ci sie fce.

Nie bees wołał leśnego nadaremno, ba go zaras śrutem po kolanak.

Pamiętaj, cobyś nigda przez dźwierza do domu nie prziseł.

Nie požądaj ani scygła, ani wilgi, ani mysikrólika z cudzego lasa, ba jimo to, co sie na plecy biere.

Rabsicuj, ale tak, coby cie nie hycili.

A oprócz tego wiele on miał porzekadeł — i tak: Na swoim nabij — na cudzym zabij.

W cudzym lesie strzelić — w hałupie sie dzielić.

Z hałupiny w worcek zarno — do hałupy z tęgom sarnom.

Nie tego dźwierz, co go licy — jimo tego, komu kwicy.

Telo baba, co i dźwiierz — jino, ka trza, dobrze miierz — — i wiele podobnych.

Inni strzelcy się też od niego tych przysłów uczyli i tak sława jego nietylko jako myśliwego, ale i jako poety rosła.

Bartek Gronikowski urodzony to był rabsic, czyli kłusownik. Nie duży, suchy, lekki, lotny, jak ptak, gibki, jak pstrąg, chytry, jak lis, a zażarty do zwierzyny, jak ryś. Nawet podobny on był do rysia z ruchów kocich, bo kiedy choćby po gościńcu na jarmark szedł, to tak lekko, jakby się bał stąpieniem co spłoszyć, a oczy, co mu bystro na wsze strony latały, widziały, zdawało się, w gąszcz leśny na trzysta sążni.

Nie Bartek poza strzeleckom robotom nie chciał znać, chyba z musu. Wiosna, lato, jesień, zima — co tylko mógł czasu wolnego od gospodarstwa dopaść, było co strzału warte, czy nie było — hybaj do lasa z flintom! Czasem go i dwa i trzy tygodnie baba w domu nie oglądała.

Ale choć koziarz był tęgi, najlepiej on lubił po lesie gazdować za sarnami, za zającem, za lisem. W turniak wesóło, ale widno — mawiał. Dopiero w las kiedy się zaszył — tam jego życie, uciecha.

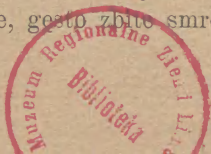
Każde zioło znał, każdy gatunek mchu, a lasy od Trsztyny na Orawie po Kiezmak na Spizu, od Gewontu po Gorce nowotarskie. Już on tam nigdzie nie zginął. Taki węch miał do lasu, jak wilk, albo i pies. Wyplątał się wszędy.

A las to był, las!

Koło Nowego Targu, koło wsi rąbywali, ale popod Tatry chyba tyle, co na opał w zimie po krajach. Popod Koszystä, popod Wołoszyn, popod Holice i Kołowy nikt go nie ruszał. Drzewa rosły z drzew, smreki, jodły, buki, jawory, a pomiędzy tem maliny dzikie, głogi, jerzyny, płatówiska wybujale, gęstwy, ostrokoły, sieci i wiązadła roślinne, paści, w których się usidlić było można, zagrzaść w zbutwielinie, w zdradnej spróchliznie, w zgniłych mokradłach, zdławić się w zwiłkanych, ugibających się, a prężnych pręciach, gałęziach, konarach, choinach, które się ugiwały pod naciskiem, ale nie dały rozerwać, tylko chwytaly w elastyczne sploty, wkręcały w siebie i otaczały, jak węże duszące.

Tam było życie Bartka Gronikowskiego, tam jego uciecha!

Darł się między drzewa olbrzymie, mchami orosłe, jak niedźwiedź, przesuwiał się popod gęstwiny, jak lis, przesadzał kłody zwałone i leśne potoki, jak jelen, wietrzył lasem, jak wilk, spinał się na jodły, jak żbik, a kołysał się na wierzchołku jak orzeł. Strasznie on to lubił: Strzelbę wsunął popod kamień, albo wepchnął w chuściaki, a sam i bez potrzeby na smreka, albo na jodłe wlaź i dopiero się ztamtąd patrzył. Koło niego las, las i las... Wierchowce tylko drzew, tu ostro strzelające czarne, gęsto zbite smreki, tam rozło-



żyście zielone buki i jawory, opłynęło go to w krąg, jak morze... A ponad lasami hale, upłyzy jasne, szerokie i wienchy powyżej jeszcze strome, wyniosłe ściany krzesanie urwistych — — i wyżej jeszcze obłoki — — i wyżej jeszcze niebo... Tak się na smreku, albo na jodle czasem i pół dnia przekołysał Bartek Gronikowski, a czasem i pół nocy, jak sęp. Patrzył do światu i pływał se po lesie oczyma, że lepi i łosoś pletwami nie potrefi. A las albo stał cicho, jak zaumarły, albo się kołysał i szumiał, a wtedy kołysał się z nim wraz w jedną i w drugą stronę Bartek Gronikowski na smreku, albo na jodle, podawał się za wiatrem i odginał wstecz i okręzał go szum i unosił, że lepi woda w Morskiem Oku łososią na sobie nie huzia do słońka.

A wiatr chodził kołami. Czasem po jednej stronie lasu było cicho, po drugiej się drzewa w półkrąg pochylały, jak kiebyś kosą zajon. I czasem las cicho stał, a z daleka leciał szum, coraz bliżej, aż ogarnął drzewa i popłynął po nich, jak jastrząb pierśią i skrzydłami nisko po kłosach, kiedy ptaki łowi. Kłosa się uginają, a on z szumem polata.

Kiedy słońce jasno świeciło, że się zdawało, iż wiatr świecący leci, albo kiedy złota radosna cisza leżała na przestrzeni, wówczas Bartek Gronikowski wdychał w siebie woń lasu, ostrą i rzeźwą, i tak mu było, jakoby płuca skrzydeł dosta-

jały. Takbyś pedział, ze ci hnetki z ciała wylecom i na skrzydłak śmignom. Ono sie wej i zoładek lekcejsy robi w cłowiek, kiedy go tak wyhuzia na jedli, a zawonie mu lase. Hej nimas to, jako las, na syćkie biédy.

I on ci wej syćko tak, jak basy ku gęślom. Smutno ci — on ta tys nie wesoly; radeś — i jemu nie markotno. Cihoś — hoćby sumiał, to tak, jakbyś go nie słysał; śpiéwas se — ej, juz i on głośny, hoćby ciho stał. Takie ci to wej, jak sekunda muzyce; na jakim nute zamysłis, on tys ta hnet za tobom. Jakoz go wej nie bedzies rad widział? Dy ci ani baba, ani dzieci telo nie przihlébiom. Ka ta!

Turnie som nie jest takie, abo i woda. Jakiesi to jest mocniejse, jako cłowiek, nie fce, sie mu przyhylic — — ale las! Teloz by ci kołyskom bél, abo łózkem! Ono by ci tys i po śmierzci nalepi w nim beło. I za truchle by ci bél, jesce jakim! i modlél by sie nad tobom. Truchła przestrona, zywicna, robaki by cie nie zjadły, ba niedźwiedz, wilk, honorny dźwiérz, a i dusa by sie radowała odlatujący, ze cie ta do bodaś jakiego, hoć ta i świenconego dołu nie rucom, ba se bees lezał jako jawor, kie mu juz korzenie zetlejom, abo go wiater praśnie, wolnemi piersiami ku niebu, hoć i nie zywy.

* * *

Znał Bartek Gronikowski zwierzynę leśną, jak jego baba pięć swoich gęsi przy domu. Do bodaj czego on nie strzelał, a nawet obyczaj strzelecki chował, że kotnych samiec szczenił, na porę dość uważał. Chyba, że już bieda w chałupie przycisnęła, jeść się chciało (na Bukowinie, wiadomo, ziarnko kłoska nie dogoni) — wtedy już nie wybierał. Sarna, zajac: to to był jego najczęstszy strzał; do jelenia strzelał ze trzy razy, ale nigdy szczęśliwie. Kozie nie rachować, już i dzików ze dwa i niedźwiedzi coś pięć położył, była uciecha w domu, jedzona długo, skóry się sprzedawało — to był najlepszy strzał.

Kiedy Bartek Gronikowski miał już zwierzynę w torbie, sarnę albo zajaca, kiedy już był spokojny: to się dopiero lubił przypatrywać zwierzęcemu życiu. Więc godzinami przypatrywał się dzi kim kogutom, albo głuhaniom, które osobliwie za Tatrami od południowej strony około Krywania, po za Wołowiec, po skoruszynach, po jałowcach, po maliniakach siadywać lubią, strzegąc się orłów i jasrtzębi z góry, nie dowierzając też kosodrzewinie i gąszczom leśnym, z których podkładały się rzutny ryś, zdračna kuna, krwiożerczy, podstępny lis i straszny, niespodziany, jak piorun wypadający żbik. Tam roztaczały one swoje przepyszne pióra, ogony w dwie strony rozgięte, skrzydła barwiste, wspaniałe; tam toczyły z sobą wojny, rzucały się jak oszalałe, na poddające się sa-

mice i brały je pod siebie, jeząc się całe w zapamiętałej namiętności miłosnej; tam wygrzewały się one w słońcu, jakby ośleple blaskiem. Tam żerowały po upłazach dzikie gołębie, śmigłe i ostrożne; zrywały się z furczeniem jarząbki i dzikie kaczkę, wielkie, ciężkie krzyżówki i mniejsze, ściągłejsze cyranki, przypadały na młaczyska i mokradła popod doliny, w bujne trawy, albo sterowały po jeziorkach. Indziej, w Roztoce, wiedział on o gronostajach białych z czarnemi ogonkami, które wyslizgiwały się z pod kamieni, ostre pyszczki i bystre oczki wysuwając naprzód. Nieraz przerwał on celnym rzutem kamienia, albo i strzałem pogoń kuny za nieszczęśliwą wiewiórką z drzewa na drzewo, kiedy rzuca się ona z cukaniem, rozczapierzając ogon, na ledwo chwytne gałązki. Wiewiórki miłował on nadewszystko. Już kiedy ją na drzewie zobaczył, gotów się był bez końca przypatrywać: jak ona się po pniu spina, po gałęziach przechadza, tu skręci główkę, tam się obejrzy, siądzie, ogonem się nakryje, jak baba spodnicą na deszcz. Szyszkę w łapki — dopiero weźmie łuszczyć, łupiny ciskać, ziarno gryźć. Uciecha! Zastrzelił ich Gronikowski, ale tylko kilka, kiedy młody był i do bodas strzału gorący; chował także parę w domu, ale mu tego żal było, to puścił zawsze po czasie. Tak i dziecięcy lubił, szpiegował je przy robocie, jak ogonem do drzewa przyparte kują zapamiętałe w kore, albo, osobiwie na

wczesną wiosnę, pogwizdując, jak piszczałki, między gałęzie nie szybko przelatują.

Gdzie się sojka zadarła — słuchał; gdzie drozdy zadzwoniły — przystanął. Nie dla samego też ich cudnego świstania nieraz; gdzie drozdy ku końcu marca, w początku kwietnia gwizdzą, tam często słonka ciągnie. Rzadka ona w Tatrach i trudna do strzału na tle gór pod mrok wieczorny, ale przecie ich trochę Bartek dzieciom do chałupy przyniósł. Ale to był rzadki strzał na zabawkę, kiedy bardzo dużo prochu w rożku było. Najczęściej to sobie tylko legł gdzie pod smrekami, zawabił na gębie, a potem słuchał, jak chrapią.

Lubił patrzeć wieczorem, zwłaszcza gdy mu się zdarzyło z wyższą patrzeć, jak w samotną pustkę u jego stóp, w stałowy zimny mrok gór leci puhacz, ogromny ptak na puszystych srkzydłach, podobny do widma, które złowrogo wróży. Patrzył za nim, dopóki nie znikł, z jakąś trwogą zabobonna w sercu i patrzył za nim jeszcze w pustkę, jakby się tam coś stać miało.

I do kóz kiedy się podkradał, a bać się nikogo nie potrzebował, o strzał mu też na gwałt nie szło: to patrzył, jak się po upłazach pasą, jak po turniach łążą, po urwiskach, po krawędziach, po spasztach chodzą, że się zdaje, już gdzie niema racicy wszczerbić. I dopiero wereda spogląda w dół, w przepaść przeokropną, jakby skrzydła miała, a to ma tylko nogi. Albo na skałkę wysko-

czy, że ledwo cztery nogi w kupie zmieści, i tak stoi i poziera naokoło, a gwizdże przez nos, jak co zobaczy, albo zawietrzy. Widział Bartek Gronikowski, jak się od orła kozy bronią, zbijając w stadko, jak koza broni kozłęcia sobą zastawiając, jak podskakuje ku orłu z rogami; widział, jak czasem młoda, ale już za ciężka, aby ją mógł unieść, a silna kozica, pędzi z grani na grań z przyszpilonym do jej grzbietu szponami orłem, tak szybko, aby mu się skrzydła w tył wywinęły od pędu i aby ją puścić musiał. I nieraz się zdarzyło Bartkowi zastrzelić kozę, która miała blizny w bokach od takiego chwytu.

Nieraz on i niedźwiedziowi patrzył bizko w oczy, kiedy ten na zadnich nogach stawał, kufę rozwierał i ślepiami jarzył, widział też, jak poza siebie między zadnie nogi ogromnemi kamieniami, kłodami drzewa, co złapie, ciska. Ryś postrzelony koło Siwego Wierhu na Orawie rzucił się na niego z cisowego konaru, tyle dobrze, że go Bartek na lufę strzelby w skoku podchwycił i tą lufę odbił. Skoczył jeszcze ryś z ziemi, ale już był słabszy i tylko mu ramię przegryzł i pierś podrapał. Potem padł, był mocno strzelony w brzuch.

Strzelby miał Bartek Gronikowski pochowane w różnych miejscach. Pod Wołoszynem, niedaleko Wielkiej Siklawy z Pięciu Stawów miał dubeltówkę, pod Rohaczami miał drugą, dwie pojedynki rozmaicie jeszcze indziej. W strzelbach się

kochał i jak jaką zobaczył, a zwidziała mu się, ostatnie ciele był gotów sprzedać, a strzelbę kupić. Babie tłumaczył, że inaczej nie może być. Przyjdą na niego donosy z Węgier od grafów Salomonów, albo ze zakopiańskiego dworu przyjdzie rewizya, a tu jednej strzelbecki, jednego kapślika w domu niemasz!

Jest tylko klucz, co z niego dzieci strzelają... Strzegą na niego hajduki po drogach, a on sobie idzie z fajką w gębie i ciupagą w garści, jak sołtys białczański, albo wójt z Poronina. Przecie go nikt niebędzie rewidował, że ma w opasku z prochem róg, we woreczku kulki i śrut, jaki kto chce, zajęczy, kaczy, kapśliki przy nich, worek płócienny na zwierzynę, z pożywieniem na trzy, cztery dni pod czuchą. Idzie sobie i tyle, do lasu po gałęzie na opał, albo za interesem. Ale przecie raz idzie w jaworzyńskie lasy na Spiż, raz w zuberskie w Orawę, jakżeby to było, żeby tylko jedną strzelbę miał? Musiałby więcej po nią latać, niż z nią. Jeszczeby się i piąta przydała. Jest śliczne miejsce na schowanie w Hlińskiej Dolinie, pod samym Hrubym Wierchem — dziura pod skałą między smrekami, żeby i człowiek wlaźł, a nic jej nie widać. Sucha też taka, jak ziemniaczana nać...

Kiedy tak mówił, baba tylko wzdychała ciężko. Miłowała ona swoje cieleta, miłowała płótno, co je sama tkala, ale zaprzeczyć się nie dało, mało kiedy byli oni bez mięsa w domu, bez stuki, hasen

s tyk strzelbów bél... Ale przy tej piątej, a była śliczna dubeltówka, jak oko, to się już Bartek zmiłował nad nią; nie sprzedał jej ani cielecia, ani płótna, tylko przesiustał za dubeltówkę płóg, nowiuteńki, i piętnaście desek, co mieli niemi pobijać dach na szopie, bo ciekło.

* * *

Kiedy Bartek Gronikowski na polowanie szedł, zawsze ukląkł przed domem i pomodlił się pobożnie, a o dwie rzeczy Pana Boga prosił: żeby mu ze zwierzyną szczęścił i żeby mu dał szczęśliwie spotkać leśnego od grafów Salamonów z Jaworzyny, niejakiego Dobrowolskiego rodem z Lipnicy Murowanej, Polaka, który za węgierską granicą do służby przystał. Miał on do niego złość wielką, a to z tej przyczyny, że go leśny podejrzewał i tropił i choć nigdy Bartka ze strzelbą nie dojrzał, zawsze na niego, jako na najgorszego raubszyca wskazywał. Raz się tak zdarzyło, że Bartek na węgierskiej stronie strzelił do rogacza, a Dobrowolski strzał usłyszał. Choć Bartek i strzelbę i rogacza dobrze schował i dopiero na drugi dzień w nocy po niego sobie przyjść obiecywał, a sam obleciawszy wilczym pędem kawał lasu i przeskoczywszy graniczną między Węgrami a Polską wodą, z chrustem na ramieniu ku domowi szedł: Dobrowolski, którego strzał przywabił, kręcił się, kręcił, aż Bartka z chrustem spostrzegł,

wodę przeszedł, jak był w butach, i ku niemu. Bartek nie uciekał, bo się czuł na swoim i nie chciał tem większych budzić podejrzeń.

Dobrowolski zdejmuje dubeltówkę z ramienia, mierzy — stój!

Bartek stanął.

Dobrowolski do niego: tyś strzelał! coś zabił?! gdzieś schował?!

Bartek się zaklina, że nie on, przysięga się, żeby mu tak obie nogi w ziemię wrosły, — (w takiej opresyi Pan Bóg dobrze wie, że człowiek inaczej postąpić nie może) — przysięga, żeby tu trupem padł, na swojego patrona i Świętą Magdalenę, co mu na myśl przyszła — Dobrowolski nie wierzy. Porwała Bartka złość, że mu nie wierzy, kiedy się tyle przysięga, bo przecie samym Świętym nawet ubliża, których on na świadectwo bierze. Jakże to może być, żeby kto człowiekowi nie wierzył, kiedy się na swojego patrona i Świętą Magdalenę przysięga! Krzyczy więc ze złością, że kto tu ma prawo do niego, kiedy tu nie Węgry, tylko Polska — i szarpie się. A Dobrowolski: że on mu pokaże Polskę i Węgry, buch go kolbą w plecy, w łeb, marsz za wodę i pognął go do Lewoczy, do sądu. Burzyło się w Bartku serce, że mało nie pękło, bo choć był winny, to jednak Dobrowolski, który go na strzale nie złapał, bezbronnego zobaczył i przysięgającego słyszał: powinien był go za niewinnego mieć. Całą drogę

Bartek z tego stanowiska wychodząc, z najgłębszym wewnętrznym przekonaniem, że tak powinno być: o swojej niewinności krzyczał i dowodził.

Tymczasem sąś Dobrowolski tłukł go kolbą, a ponieważ w sądzie w Lewoczy Bartka dla braku dowodów uwolnili, odprowadził go do granicy i znowu tłukł, ile chciał, tak, że Bartek blisko miesiąc wstać z łóżka niemógł, bo mu ciało ledwo od kości nie odpadało i dziury miał w głowie.

Nie uwierzył mu, obraził przez to, aresztował za granicą bez prawa, do Lewoczy gnał, pobił i poranił, o chorobę i koszta przypisał, lasu na czas pozbawił: poprzysiągł Bartek Dobrowolskiemu zemstę i to nie béle jakom! Postrzelić go, albo zastrzelić — coż to znaczy? Z jednego się wykuruje, od drugiego zaraz zginie, ani nie będzie wiedział kiedy. Nie mógł się Bartek takiej zemsty odżalować, którą wykonał już na jednym strzelcu liptowskim, co mu dwa capy w okropną słołę i z niesłychanym trudem upolowane, kiedy Bartek na śmierć znużony przy nich usnął, ukradł. Dojrzał go Bartek z daleka i zapamiętał. Trzy dni się po górach nawłóczył, nie spotkać nie mógł, deszcz i grad go bił, ze śniegiem się urwał w Cubrynie, dobrze do stawu nie wjechał, ledwo życia nie pozbył, aż mu wreszcie Pan Bóg kozy nagodził i to tak, że od dwóch strzałów z dubeltówki dwa capy spadły. Ale duch się już ledwo w nim trzymał —



a ten się podkraść ku śpiącemu i ukraść. Byłby pewnie i strzelbę zabrał, tylko że ją Bartek w ręce przez sen dzierżył. Ej! Przi samej ziemi! Kiedy go Bartek w dwa tygodnie później na uboczu pod Tomanową Węgierską zobaczył — kiedy się nie złoży, nie gruchnie! W samą głowę mierzył i w samą głowę trafił. Ale cóż — znalazł się jak głup-tak. Liptowski strzelec nietylko się nie spostrzegł i nie zmartwił, że umiera, bo czasu na to nie miał, ale nawet nie wiedział i tego, kto go zabił, bo Bartka nie widział.

Cos to telo wypłacić kogo? Tak, jak nie...

Leśnego Franca Horwatha i hajduka Bunkosza z za smreków postrzelił, zabić nie chciał, tylko śledzenia za myśliwymi oduczyć, puścił im śrut po nogach — wyleczyli się; Bunkosz za służbę podziękował, zląkł się, ale Horwath jeszcze zażart-szy potem był. Przepędził też kulkę przez ramię jakiemuś leśniczemu z Kokawy, co go przy sarnach spłoszył i strzelił za nim — chciał trafić prawda w szyję, ale nie trafił — ale cóż to wszystko było? Byle co — a z Dobrowolskim musiało być nie bodas jako! Tu trzeba było czegoś dokonać, co hej!

I czekał na sposobność, czekał siedmnaście lat.

Aż wypatrzył przypadkiem, że Dobrowolski w lesie pod Holicą na wąskiej pérci zastawił okle-piec na niedźwiedzia i codzién tam wieczorem pod-chodził spojrzeć, czy się zwierz nie złapał. Chytrze

się Bartek podkradł rano, ciężki kłót drewniany od oklepeca odciął, a żelazo przewłócił w gęstwinię na péc, w inne miejsce pod niską turnię i zakrył tak, żeby śladu z niego nie było. Nie prawą, to lewą nogą musiał się Dobrowolski chwycić.

Takom sobie podnetę sam przigotował.

Legł za turnią w borówniaku i czekał. Kiedy pora, iż Dobrowolski mógł iść, się zbliżyła, Bartek gorączkowo szeptał: Boże daj! coby sie dopod! ej Boże! daj, coby sie dopod!

I tak się stało. Przeraźliwy, nagły krzyk zwięksił Bartkowi, o co Boga prosił.

Cicho, jak kuna, która się na zająca skrada, wczułgnął on się na turnię i wyjrzał z za głazu. Dobrowolski, jęcząc straszliwie, schylony w pół, usiłował wcisnąć między żelaza, co się mu w łydękę zębami wcięły, lufę od strzelby, aby je rozważyć.

— Tuś! — szepnął Bartek.

I jednym rzutem, jak ryś na capa, spadł na grzbiet leśnego.

Nim się ten opamiętać zdołał, wydarł mu strzelbę z rąk, wyrwał kordelas z pochwy i precz odrzucił.

Poczem sam odskoczył i wyciągnął krucicę z za pasa, bo strzelbę na turni zostawił, i wymierzył mu w piersi.

— Panie Dobrowolski, teroześ mój! — rzekł.

Dobrowolski zbiełał i wargi mu się trząść za-

częły. A Bartek mówił: — Prziśędze, hoćjek sie na swojego patróna i na samom świentom Magdalene przisięgoł, wierzyć eś nié keioł, niewinnego mnie, cyk ta bół winny, abo nié, to lo tobie jek był niewinny, do Lewocys gnoł, kolbomeś mie biéł — is teros! Coś bedzie?

Nie pomogły próby i zaklęcia leśnego. — Hej! jesce by śmie kie ty dopod! — odpowiedział i straszłą rzecz, o której, przywlekając w to miejsce oklepiec, myślał, wykonał. Grożąc leśnemu krucicą, ręce mu związał, „moze samo tém powrózke, co on mu wte“, i ku olbrzymiemu kopcu wielkich czarnych mrówek go podwlekl, poczem do drzewa przytroczył, a usta ziemią i błotem zatknął i szmatą przewiązał.

— No teraz ze se haw stój do rania, kim cie towarzisia sukać pudom, panie Dobrowolski z Lipnice Murowanej. Jesce ta jaki wilcosek tym mrowcom pomoze. Bądźmy zdrowi! Is, jo cie ta niebedem kolbom śturkoł, boś przecie nie bydle, ba cłowiek.

Uklonił mu się kapeluszem i poszedł.

Przed świtaniem, kiedy się podkrađł w to miejsce, aby Dobrowolskiemu, gdyby jeszcze żył, łeb obuchem ciupagi rozkruszyć, znalazł go ogryzionego do kości, znać, że nietylko przez mrówki, ale i przez wilki. Prawie nagi krwawy szkielet zwiśał na postronkach w rozkopanym i rozrzuconym kopcu, z jednym piśczelem w czerwonych od

krwi żelaznych obręczach oklepeca, którego zęby aż się w kość wpiły.

Rozwarł Bartek oklepiec, szybko go na dawne miejsce odwlókł, kłot przywiązał, nastawił go, jak trzeba. A Dobrowolskiego szkielet zostawił, gdzie leżał, nie nie ruszył, pieniędzy, co miał przy sobie trochę, nie, tylko odrobinę tytoniu węgierskiego do macharzyny przesypał i prochu tak na trzy strzelenia z rogu do rogu. Potem przeżegnał szkielet i hip! do lasu, duchem gnał, aż się wieczorem nad Orawicami w reglach zatrzymał i zaraz, strzelbę schowawszy, do wsi zeszedł, niby to za zakupnem gęsi, bo tam chowali ich dużo i ładne. Radby był fajnego gąsiora nabyć — szukał..

O nic się nie bał. Sądy się ani pytać nie będą. Wilki leśnego zjadły, pod noc sam w pustki chodził. O nic się nie bał. Bo i Panu Bogu bardzo ufał. Nie tylko, że mu On Dobrowolskiego w oklepiec wprowadził, ale jeszcze i wilki zesłał, które go zjadły tak, że ani szlaku znaku, co się zrobiło. Pan Bóg z nim!

* * *

Nigdy Bartek z powodu Dobrowolskiego snu niespokojnego nie zaznał. Sumieniowi zadość uczynił, Pan Bóg mu przy Dobrowolskim pożegnał, pobłogosławił, a duchów też się nie lękał. Té duchy, co po lesie, abo po halak hodzujom — mawiał — som nie jest zawzięte. Zwiedzie cie, po-

klamie cie drógami, cobyś hnet i przepad ka, ze-strasy cie, to hej, ale coby sie ta zaś miało mścić, ścigać cie, jako té, jako ik to nazywajom, upiory, to nie. Ba na smentarz w nocy nie hodź, ale pocoz byś hań i sel? Strzylał na smentarzu, hoć sie ta prawda i hań dziwaśka zajonc, abo liska trefi, nie bedzies, bo zawdy wsi blisko i grzych. A co w halak, abo w lesie cłeka byś zabiél, to mozes spokojnie hodzić. Gonił cie po śmierzei nie bedzie. Dyj tu nie jeden strzelec, jako i Tylka z Dzianisa trzok Luptaków na spaniu obuskem zabiél, a bez to jesce dwaścia rók po polowacce hadzał. To ta nic. A jesce jak sie sprawiedliwie pomścić na kim — e, ani nie patrz po za sie!

Co rozmaite duhy, strasaki po Tatrak, to som jest. Wsędėj ik pełno, nie trza sukać. Mało sie ci zadrzimie ka w dolinie, ka pusto: oho! jus ci sie zła krew obzywa. Abo ci łańcuhe zazbércy nade głowom, abo ci ocy tak zasuje, jakoby ci sydzkie gwiazdy do nik spadły, abo jako by ci złotem zaprósél.

Dužo dziwnych rzeczy Bartek Gronikowski w górach doświadczył i opowiadał nieraz.

Ale co najcudniejszego ludzie od niego słyszeli, to historyę o dzikim człowieku, choć niewiadomo: dziki to był cłowiek, cy waryjak?

Idem raz późnom jesieniom, śnieg przikurzował, bez Hale Królowom dołu, koło potoka — capu niózek tęgiego na grzibiecie, co jek w Granacie

zabiél — patrzem, ono sie cosi pluska we wodzie. E kis to djabli, co sie teraz kąpie, kie pokurzuje i zimno? Nablizam sie — we wodzie cłowiek z góralaska odziaty, wieńce na nim z choiny, z kosodrzewu, z selijakiego ziela. Nie kąpie sie, imo cosi we wodzie suka. Nablizylek sie jesce więcył — ja sie go ta nie bał, strzelbe miałek w gotowości — on hip do lasa. Ja za nim. Uciók mi na kwile, skrył sie między smrecaski młode — patrzem po kwili — jest je! Stoi, patrzy do mnie. Ja ku niemu miérze, krzyce mu: stój! bo bedem strzylał! — ale ino tak na śpas, bo cosbyk ta miał do niego strzylać. On stoi, zobziérał mie, ocy miał wielgie, i obzywa sie ku mnie, tak bez pół mówięcy, bez pół kieby śpiewał, tak: Ozgrzesys mie? Ozgrzesys mie? Serce woda niesie po zielonym lesie — serce woda wziena wodzicka studziena, tocy po kamieniak, tocy po strumieniak — kasi sie pod skałą krwawą rybką stało... Ozgrzesys mie? Ozgrzesys mie? — i zaś znowa jako przódziej. Ja stał i słuhał, to tak dobrze ze trzi razy mi przepedział, w rzeczy prześpiéwał, cok sie wej, nieprzymierzający, jak paciérza piéknie wyucél i do siela baczem. Nieraz to sie mi wej i w nocy przyśnije, abo sie mi tak samo od siebie zbacy, ka w lesie, abo przy orbie w polu, cy ka inéndyj. Ozgrzesys mie?... Ozgrzesys mie?... A tak załośliwie śpiewał, co ja ze luto béło słuhać. Ja do niego gwarze: ozgrzesem cie, no podź ku mnie. Myśle, waryjak, trza na jego

nute ś nim. Fciałek go do wsi na Bukowine przywieść, niek ta ś nim pote robiom, co uwazom. E — nie idzie. Pojdze, podź! On nic. Wyjonek kawałek oscypka, cok go miał w tórbce pod boke, pokazujem mu — nic. Jesce sie cofie ku lasu. Wzionek, rucilek...

Cafnon sie jesce więcyl. Popatrzał na mnie tak, jakoby sie co dobrego ode mnie spodziéwał, a ja kiebyk sie nie nazdał, co on fce? Patrzy kwile i powiada: Ja do tobie hlebem, a ty ku mnie kamieniem, ja do tobie krwią, a ty ku mnie ślinom! — I patrzem, hyce on gałazke ze ziemi i przezeгнаł mie. Ja rzeke: je cozek ci zrobiéł, coś sie pogniéwał? Jesce mie zegnas! Ale on do lasa i przepad. Ja nie seł za nim, bo mi cap ciążał, a capu na dzakiego cłowieka siustał nie bedzies, bo cłowieka nie zjés. Haj. Zginon mi. Kasi sie ta jesce w lesie obezwał, je ale jek nimóg uznać, co mówiéł. Juzek go pote nika nigdyj nie spotkał. Słysałek później z pastyrzy, w Pańscycy, ze go mieli widzieć, ale zuciekali, bo sie go złekli. Ja sie go ta nie bał. I posukowałek go nawet kieniekie, kiek w ténta strone zaseł, ale darmo. Kajsí sie beskurcyja straciła. Młody bél, nie béło mu nad pięć dwaścia roków. Odzienie miał z góralaska, ale wi-dno béło po mowie, ze je nie tutejsy, ka od Krakowa, abo z kainéndyj. Takí ci sie wej i cudak trefi w lesie. Ono by cie wej hnet i ogłupić zdołało. Hej! las, to je nie plotka...

Pewnego razu rozchorował się Bartek na łóżnicę, na tyfus, po którym mu na czas jakiś jakby nogi odjęło i z półtora roku w lesie nie był. Martwił się o strzelby, że się ordzew chwyci, głód był w chałupie, ledwie wytrwał.

Nakoniec wyrwał się do lasu, ku Holicy, gdzie najszacowniejszą dubeltówkę schowaną miał. Znalazł ją, oczyścił, oskrobał, nabił i ruszył dalej w głąb — gdy straszliwy jego oczom przedstawił się widok, a stało to się tak nagle, że zdawało mu się w pierwszym wrażeniu, iż na oczy jego padł czar. Oto cała ogromna przestrzeń lasu leżała wyrąbana. Pookrzesywane z konarów drzewa leżały, jak okiem sięgnąć, zwalone.

Instynkt pchnął Bartka wstecz: cofnął się w gąszcz ze strzelbą.

Jak przed węzłem jadowitym począł uciekać. Obleciał po pod Holicę, po pod Szeroką Jaworzyńską, uciekał od tego straszego miejsca; gdy ku Żabiemu prześwieciło mu coś nagle między gałęziami i znowu wielką przestrzeń zwalonych drzew zobaczył. Więc począł uciekać wyżej, a teraz już zdawało mu się, że na każdym miejscu otworzyć mu się może ten straszny widok. Zrozumiał, że tak może być. Pierwszy raz w życiu niewiedziały, jak biedz, zatrzymywał się, wahał, bał się w lesie...

Pierwszy raz Bartkowi Gronikowskiemu z Bukowiny stało się w tatrzańskich lasach ciasno...

Las aż ku samemu Rybiemu Jezioru wszędzie

był cięty. Zaszył się więc Bartek Gronikowski w gąszcz i legł na ziemię. Język mu zesechł, oczy go piekły. Nieznane uczucie rozpacznej trwogi ogarnęło go. Nuż usłyszy tuż za sobą stuk toporów, zgrzyt piły i trzask walących się smreków... Co przyległ głową ku mchom, śmiertelnie znudzony i z sił opadły, dźwigał ją i nadśluchiwał... Gonila go pusta, łyśa przestrzeń. Jasne słońce, które na wyrębach zobaczył, napełniało go obrzydzeniem i wstrętem... jego, co się do słońca mógł i pół dnia gdzie w pustkowiu kołysać na wierchowcu drzewa.

Już nie było pustki w Tatrach. Nie juhasi, co tam kilka miesięcy przegazdowali po halach; nie strzelcy, jeden koło Lodowego na Spiziu, drugi w Pośrednim Wierchu od Liptowa, trzeci we Wołowcu ku Orawie; nie leśni, tak sam samo rzadko rozsiani — ale jakieś potwory zageściły się w lesie, w odwiecznych, wiekuistych puszczach, niszcząc je i tępiąc gorzej ognia i wichru halnego. Bartek Gronikowski drżał i kurezowo strzelbę ścisnął w rękę. Już nie on był na polowaniu, ale na niego polowano, i to nie jakiś Horwath, czy Dobrowolski, ale ścigała go, tropiła łyśa, pusta przestrzeń, ścigało go przekłete, straszliwe „Widno“, polował na niego „Świat“. Bartek Gronikowski na podstęp miał podstęp, na kulę kulę, wobec rąbania lasów uczuł się bezwładny: „skończył się“!

Nie wiedział, czy tak jest, ale widział w wyobraźni walące się, lub powalone już pod topora-

mi potężne smreki w Koprowej Dolinie, szumiące rozłożyste jawory pod Rohaczami, jodły śmigłe za Siwym Wierchem, za Syndlowcem. Całe Tatry, wszystkie lasy tatrzańskie mogą już tak leżeć, pnie obok pniów, konary i gałęzie w kupach, tylko oduziomce zostawione bielą się, bielą z ziemi, bielą do słońca, jak martwe kości.

Skończyło się...

Wiatr, co szumiął od wierchów i kołysał ponad nim smreki, wydał się Bartkowi jakąś straszną pełną żałoby muzyką, jakimś pogrzebowym śpiewem cmentarnym.

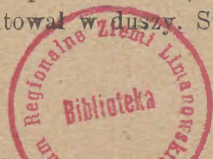
Pierwszy raz zasmuciło się Bartkowi Gronikowskiemu serce przy wianiu wiatru.

Nad lasem przeglądały turnie Żalbiego, nagie, twarde i strome. Złość go na nie porwała. — Hej! Dobrzez wam tam, wysoko! — krzyknął ku nim z podniesioną ręką. — Wtoz wam hań co zrobi? Nie pudzie was we worku znosić do młyna mleć! Ale las!...

I tak już będzie zawsze — jutro, pojutrze, za rok, za dziesięć lat, za trzydzieści — bo nim tam smreki ścięte odrosną... Hej! Nie, docka nik!...

Straszliwe, złowrogie, zgubne dla Bartka „Widno“ spadło na lasy tatrzańskie z łoskotem toporów i pił, jak powódź z hukiem na pola zasiane. Zostanie pustka, pomarlisko...

Siedział Bartek pod drzewem, o pień plecami wsparty, i lamentował w duszy. Strzelbę trzymał



w rękach, lufami do siebie, jak bezużyteczne narzędzie, jak rozbitek na łodzi sznury od steru, który bałwan zgruchotał.

Zapadał mrok. Wiatr pociągał ku jezioru.

Wtem zachręściło i zaszeleściło coś w gęstwini i naprzeciw Bartka, o kilkanaście kroków, wyrzucił się z gęstwiny jelen. Wiatr szedł od niego — nie czuł.

Stanął. Począł się wpatrywać w Bartka, któremu mrok zatarł kształt, a który siedział nieruchomy pod smrekiem, jak zaumarły.

Zaś Bartek Gronikowski spojrzał na jego wspinałe rogi i szeroką pierś, kiwnął ku niemu lufami strzelby z rąk i ozwał się żałośnie: Cos teraz s nami będzie?...

Jeleń zawrócił się na miejscu i skoczył w gąszcz.

JAK UMARŁ JAKÓB ZYCH



Pewnego pogodnego rana w grudniu Jakób Zych rzekł do swojej żony Katarzyny z Zegleniów od Janika:

— Do dziśkak żył, a dzisiak umrem.

Działo się to we Witowie.

Kiedy tak rzekł do żony, ona odpowiedziała:

— Ej nieboze, nieboze!

I westchnęła.

— Kaśka — rzekł znowu Jakób Zych — wyżyłek godnie węcyl, jako dziewięćdziesiąt roków, moze trzi, abo pieńć.

Ona westchnęła znowu.

— A tobie bedzie blisko osiemdziesięci. Nie béło ci jak siedemnaście, kiek cie brał. A mnie béło pono trzidzieści, abo mało co mniéj, abo mało co wyséj.

— Ej nieboze, nieboze!...

— Nie fciałaś sie wydać za mnie, zek stary.

— Hej, hej! Boze!

— Ale cie prziniewolili, zek bék bogaty.

— Hej, hej! Boze...

— Plakałaś...

— Hej, hej!...

— Dobrze cie ojcowie nie bili.

— Hej, hej!...

— Boś béła jedynica i nie biédna, to ci sie widziało hodźco.

— Boze!... Kie to ta...

— Ale ja pedział: jak mi dacie Kasie, to wam splecem cały dług u Janików, a jak nie, to was podpole. Bo ja miał dudki.

— Hej, hej!

— Miałek dudki jesce po dziadku, Symónie, co piniondze kasi na kościół we Węgrak pokrad, i swoje własne, cok je z Węgier prziniós.

— Hej, hej!

— I maturek miał i zdatnyk bywał. Byłbyk podpalit, jako jamen w paciérzu.

— Hej, hej!

— I tak mi cie dali, hoć jek ta taki namłodszy ku tobie niebéł...

— Ej nie, nie béleś...

— A tobie sie widział Józek Huciański, co sie pote od zalu dał w lesie drzewu przywalić.

— Hej, hej! Boze!...

— Młody bék. Niémiał jak dwadwaścía roków. Ładny bék.

— Hej, hej!

- Wiés, kielo to temu roków?
- No?
- Kopa i trzi, abo pieńć.
- Hej, hej! Boze!...

* * *

W południe Jakób Zych już się tylko samego mleka trochę napił, a potem legł na pościel i już nie wstawał.

Przyszedł do niego jego kumoter, ale o wiele młodszy, Franciszek Gombos.

— Niek bedzie pokwalony. Co ta słyhno? — rzekł wchodząc. — Ludzie gadajom, kumotrze, ze bedziecie umiérać.

— Niegze bedzie na wieki. Witajcie, kumotrze — odpowiedział Zych z posłania. — Ludzie gadajom prawde.

— Cy sie wam jako dało poznać?

— Od rania cujem. Zarazek ucuł, inok sie zbudziéł. Siednijciez.

— Ono ta wej trza. Dziś ty, jutra ja.

— Ej wiera, trza, trza.

— Wcora sie wam dało pocué?

— Wcora? Nié. Jaze dziś rano. Inok sie obudziéł, jesse nie świtało, zarazek wiedział, jeze ona juz nie prec — śmierć.

— Nie prec...

— Co robić?... Długok zył.

*) — Długo. Mało wto dziś tak.

— Dziś mało, ale prędzej bywało takik, eo i sto roków zwysył, dośé.

— Ba, drzewiej béło nie tak.

— Bajtoć! Twardo nie robili i grule nie gniły. Dwaścia rók miał, to jesse krowy pas, w długiej kosuli — hłopiec! I nie bedzie ci taki długo zył? He?

— Ba, ba! — przyświadczył Gombos.

— Nie sył mu tu nik portek, jaz sie zénił. Doktorów nijakik nie znał tu wte nik. Ale tu nie umar ino tén, co musiał. Nie tak jako teraz...

— Ba!

— Syćko béło ine. Wóz. Dałés za wóz nawięcył osiemnaście cwancygierów, hej, to cie przezył. Prawda! taś nie uświacył w nim klinca, zelaza, ba bosak. Ale ta prec nie jezdowali, to ta pobył.

— Pobył, pobył...

— Nie sukał haw do niego nik zadnej kołomazi, ani smarowidla. Jehał, a pocon mu zgrzipiec, e, to wbiel grziba w koło i obyrtalo sie.

— Cosby nie... Wiera obyrtalo.

— Prędzej nie tak bywowało. Krzest. To kie ta juz barz źle béło, je to zaś i same baby ukrzciéły z wody, i béło. Bo ta z tego hodzenia do kościoła tys duzo nie béło, nie, hodźta i zaśli. Kie béla zima, mróz ostry — pod strzehe z niekrzconym nie wlezes, bo boginki na kumosce zaraz jadom w usyp, pod zwonami w babinu tys nie ostawis, bo

i hań najdom! Ba weion kumoter ciupage w węgieł i s torbom zawiesiél małego na niej. Kim ta zapisali, kim sie ta kościelny obuł, ksiądz odział: tén jus na węgle spał twardy, jak senk. Zamarz.

— Tak, tak bywało.

— Ale sie ta nik nie zabijał za nim. Wtedėj go ta trohe zał béło, jak bél hłopiec i miał palce długie, bo by bél na bace, owce doić i na gajdak grać, dobry.

— Ej ha!

— Dali siajne dwa dudki: zaśpiewał, pomodlél sie, hej! sowali i pošli du domu.

— Hm, hm!

— Całke inacėj dawno béło. Dał cłek na Suhejgórze dwa dudki siajne za funt soli — ale bél funt! Nie wazył ta nik na mińcérzu, nie ściskał! Béła waga drewniana: na jedném końcu wanta, hej, jak łeb! To bél funt!

— Hej, hej! Tak wej ono bywowowało, dawno tak.

— Ba... Ale przesło.*)

* * *

Po południu się zrobiło Jabóbowi Zychowi słabiej. Przyszła stara Tylkula, zamawiaczka. Starsza ona jeszcze podobno była od samego Zycha. Sprowadziła ją Zychowa. Siadła przed piec, jęła

***) Ustęp w gwiazdki zamknięty jest przeróbką góralskiego oryginalnego opowiadania.

ciskać jarzące węgle na miskę krzyżem do wody z dziewięciu źródeł. Zych się przypatrywał spokojny z pościeli.

— Popuściło cie by kielo telo? — pyta się go żona.

— Coz mie miało popuścić? Dy mi haw wej nie odcyni pięci rók, ani pietnastu. Ja nigda nie chorował, to i nie z chorości, ba ino ze starości umrem. Daj ta babinie płótna i spyrki, co sie haw utañ-cyła z wągłami po próźnicy koło pieca.

— A coby my po ksiendza posłali, w Hohołów?

— Mnie go haw nie trza. Co ja mam z pahołke gadać, kie ja hnet z samym gazdom bede gadał. Ale to gazda nie taki, jako sie wej syćko zdajało Józkowi Smasiowi z Olce, co my wraz towarzisowali, jeze On taki na niebie, jako Smaś w Oley. Kie wzieni nieraz uradzać ze Samke Wojtkie Widowacem ze Zakopanego jakie to bedzie to gazdowstwo, ze słońce ze złota, miesionc ze śrybła, gwiazdy piniondze ozesute: dało sie słuhać, bo to były hłopy mowne i przyjemne, ino takie bajaki. Powiadali, kie miesionca ubywało, a gwiazd zaś przibywało, ze go ubywa, bo Pan Bóg ś niego gwiazdy robi, „piniondze bije“, gadali. A zaś kie go przibywało, to gadali, ze janiołowie rudy kajsi nagrzebli i przinieśli. Takie wej śniarze! Cok sie im nieras naśmiał!... Kieby kot swojego pana boga miał, toby go wymalował za kota a przihlébiałby sie mu po kocemu, jako i my się przihlébiamé po

ludzku. Tak i kón, tak i wąż, kazde stworzenie. Ze człowiek sie za pana pocytuje sydzkiemu stworzeniu, zywinie i dzwiérzowi, a oskazować lubi, toz to i ludzki Pan Bóg syćkiemu pan i nie robi nic, jacy władze.

— Bo i prawda, kumotrze — ozwał się kumoter Gombos z przekonaniem. — Władze On, władze.

— Dyj władze, wiem — odrzekł Jakób Zych — ale nie tak, jak ludzie myślóm. Kogo mierzi, ze sie ta jaki Bartek pobiél, abo jaka Kunda przepała od Staska, e, to jus i Pana Boga musi mierzić. Bajto!

— A cosby to grzyhók nie béło? — rzekł kumoter Gombos z opozycyą.

— Jest — odparł Zych.

— Sąd Boski strasny — rzekł Gombos.

— Strasny, prawda — odparł Zych. — Niebo sie bedzie gionć, a ziemia trzesceć. Janiołowie na trombitak grać bedóm, a góry i hale bedóm sie ozwałować od głosu. Wte sie ta nik nie uhyli, ani nie wykrenci. Ale Pan Bóg mondry, wié, ze hojby wto haw nie dziesieńć, ani nie piętnaście, ale i pięndziesiont, i sto roków cosi kajsi onacél, brojél, to zaś co sto roków, to nie wiečność, co Špiska Turnia, to nie Tylkowe Kominy. Cyjsca sie bojem, piekła nié.

Rzekł kumoter Gombros delikatnie, ale z we-



wnętrznym własnym sądem i wiedząc, że mu nie będzie przeczone na końcu myśli:

— Padacie, kumotrze, jeze sie piekła nie boicie — jakos? cyby go miało nie być, cy jako? Ale kazby djably siadały, jak by go wej nie béło? Ady djably przecie jest.

— Jest odpowiedział Zych — i seliniejakie. Som Belzebuby, Astaroty, jazerni, jest djably polne, wodne, leśne, hałupne, coby ludzi kusily. Krzizem świentym sie im trza oganiać, bo sie go bojom. Strzegom na cłowieka wsędył. Dy ik i haw w izbie*pełno bedzie, sej sto, abo i tysione.

Wzdrygnął sie kumoter Gombos, a żona Zychowa zaszepiała:

— Raty Boskie! Ponjezusicku nasłodsy, ratuj tyz! Maryjo Panno!

Zych mówił dalej: — Djably kusom i trapiom. Straśnie som jest źli i zawzięci, wiera o to, bo od stworzenia świata prógujem jakom duse ludzkom do piekła wewłéc i jesce zadnej nie wewlekly, ani nie wewlekom, bo im mondrość Pana-Boska nie da.

— A dy ksiendza inacyj gadajom z ambony — rzekł Gombos.

— Niegze ta. Ksiendza wiedzom, podla cego jako gadajom. Mozom gadać, jako fcom — odpowiedział mu Zych.

— Ej! Oni ta wiedzom — rzekł Gombos.

Odezwała się żona Zychowa: — Dyj sie ucom na to w séminaryji.

Popatrzał na nią Zych mądrze i powiedział:

— A wtoż ik hań ucy w téj séminaryji? Pan Bóg, cy ludzie, samo tacy, jako i my?

Umilkli kumoter i żona Zychowa.

* * *

Później dzieci, wnuki i prawnuki, co byli na miejscu, nie po świecie, zeszli się do izby Zycha, który miał umrzeć, aby go pożegnać. Myślał on o czemś widocznie i od czasu do czasu wodził zbiełami ze starości, gasnącemi oczyma stuletniego sępa, po obecnych, jakby między nimi szukał, wybierał. Kilka już razy tak oczyma przewiodł, a zawsze najdłużej się patrzył na Staszka Kojasa, syna najmłodszej córki, Wikty, najulubieńszego wnuka, chłopca już dorosłego, pięknego, rozumnego, silnego i mężnego na podziw. Potem rzekł:

— Icie sytka do pola a Stasek Wikcin niek haw ostanie.

Wszyscy wyszli.

— Stasek, pojdze haw ku mnie — rzekł.

Staszek zbliżył się do pościeli dziadkowej.

— Słys, dziecko — mówił Zych — wybralek tobie, boś mi ostomilsy ze syékik i widzis sie mi najfajniejszy. Śmiałyś?

— Abo co?

— Mocnyś?

— Kazdego prasnem.

— Słuhajze. Koło kaplicki świętego Jana pod Nowym Targem, skoro piérse słońce na niebo wychodzi, pokiela cień od kaplicki na trawe padnie, hań som jest sowane piniondze w kotliku, co my ik z Józkiem Smasiem, z Łuscykami Jaskrawemi, Józkiem i Staskem i s twoim dziadke ojcowistym, Marcinem Kojsem za Tatrów przinieśli i hań zakleni.

* * *

Ku wieczorowi zesłał Jakób Zych do znaku. Wtedy rzekł do żony:

— Stara! podź.

Żona ku niemu podeszła.

— Przehél sie.

Przechyliła się, a on ją objął w ręce za ramiona i pocałował w oba lica; tak też i ona jego.

— Bydź zdrowa, stara!

— Ej Kubuś, Kubuś!

— Ej Kasiu!

— Boze cie prowadz we wiecność.

— A bądź tobie, Kasiu, na pomocy przy skonananiu.

— A tobie, Kubuś, przim do kwały niebieskiej. Jamen.

— Tak i tobie, Kasiu, kiesi. Jamen.

— Jamen.

— Jamen.

Dzieci, wnuki i prawnuki, starzy już chłopi, si-

wi, stare już baby, posiwiałe, mężczyźni w sile wieku, kobiety w kwiecie lat, niektóre z dziećmi przy piersiach, młodzież dorosła, dzieci podrosłe i nieletnie i drobne, skupili się przy łóżku Zycha, a on im błogosławił. Potem powiedział: Ostompście się — i wstał o swojej mocy. Tak, jak był, legł był na łóżku w kyrpcach, w portkach, w pasie, tylko guńkę zrzucił — i tak wstał i opierając się o ramiona i piersi tych, co go otaczali, poszedł, chwiejąc się, powoli ku oknu. Widno było Czerwone Wierchy, Kominy, regle witowiańskie, smrekami staremi porośłe, odwiecznym lasem, i polany pośród nich, wielkie równie śniegowe. Czerwone słońce świeciło na górach, jak ogień, i na niebie zamarzłem, jak ogień gorzało. Wtedy rzekł Zych: — Niedźwiedź śpi, cas i mnie. Ostańcie s Pane Boge, wy turnie i hale!

I postąpił parę kroków wzdłuż ściany, opierając się o nią ręką, ku półce, na której leżał jego stary zbójcki nóż, o krzywem ostrzu kończystem i z trzema bulkami mosiężnymi na końcu, zrobił nim trzy krzyże w powietrzu i trzy razy nim się przeżegnał. Potem schylił się, wsparty o stół ręką, i zrobił końcem noża na podłodze krąg wokoło siebie. Wszyscy się ustąpili popod ściany. W tem kole się położył, rękoma się wspierając o podłogę, na wznak. Leżał chwilę, przymknął oczy, westchnął kilka razy i umarł.

* * *

*) Na trzeci dzień do trumny go kładli, z jodłowych deszczek zbitej. A do trumny dali mu fajkę, krzesiwo, spinkę bardzo starodawną do koszuli i obrazek zbójceki na szkłe malowany, czem się najbardziej za życia cieszył.

Nie szła za trumną żadna procesya, za włókami z trupem, bo kościół był daleko, a śniegi wielkie i kopne. Włożył najstarszy syn osłony na włóki, w osłony trumnę, opasał się powrósem, wziął ku sobie siekiere i widły żelazne na wilki, siadł na trumnę, przeżegnał się i ruszył. Pilno patrzył, aby się koń gdzie wilków nie spłoszył i trumny z osłon nie wyrzucił, aby z niej co nie wyleciało, bo pamiętał dobrze, co ojciec nieboszczyk nieraz powiadał: — Kie wiezies trupa, a włożom mu do truchły, co wto za zycia rad widział: fajke, tabak, korunke, abo i obrazek jaki, niek cie Bóg broni, jakbyś mu co stracił, ténby ci dał! Stanie na hmurze, to siem ról gradem wybije. Wracaj sie i sukaj! Musis! Niek se ta ma.*)

Tak umarł i tak na pogrzeb wieźli Jakóba Zycha z Witowa.

**) Ustęp w gwiazdki zamknięty jest przeróbką góralskiego oryginalnego opowiadania.

ORLICE



Był chłop z Poronina, nazywał się Kuba Kopiński. Powiadali o nim, że mu nigdy deszczu nie trza, chyba w zimie. I prawda, że nie wiadomo, czego miał więcej: czy pola, przez które woda szła, czy wody, co szła przez pole?

„Kubie strasznie w powódź śmiało — mawiali chłopci — woda mu ta sama nie będzie brać“. Lał deszcz, to mówili: „Kubie gazdostwa przybywa“. Jechał z pługiem, żartowali: „Uwazuj ze, byś co ka gruntu nie zahyciél, bo pług popsujes. Kuba jedzie wodę orać, bedom pstrongi rosty!“ Szedł z grabiami, to zaś znowu: „Jesce tys takiego nie bywało, co łososie grabiami hyce“. Idzie Kuba z motyką: „Hej: idzie Kuba banie brać, bedom miały lipienie ka zimować!“ Jedzie wozem drabiniastym: „Hej! by ci nie wyciekło! Racyj se pu-tnie weź!“ I takie inne.

Wodny Kuba go nazwali.

Gniewało to Kubę i bolało, te śmiechy ludzkie. Ale ludzie jak ludzie. Takie to jest, jak i psy: wlezie między tłuste miejskie owczarski, albo gdzie

ze wsi: dalej wszystkie na niego! Ani go jeden nie będzie bronił; najlepiej jakby go tam jeszcze z drugimi nie targał. A i to nie z miłosierdzia, tylko będzie leniwy, albo stary. Inaczej nie jest, ani nie bywało.

Bołało to Kubę i gniewało, a i bieda dogryzała. A jeszcze kiedy mu córki dorosły, trzy córki, jak topole: Róża, Ulka i Wikta — ani to temu co do gęby włożyć, ani oblec po ludzku. Matka tego żalu i wstydu nie miała, bo przy ostatniej, Wikcie, zmarła. Wychowało się to niewiedzieć nawet jak? Ulce było dopiero dwa lata, Róży trzy. Na koziem mleku wyrosło — ej! baj to! jacy na wodzie!

Ale ród to ród. Kopińscy byli chłopcy, jak buki, takie też i Capkule, co od nich żonę wziął. Baby jak wrota. Kiedy ci którego Capka dziewczka stała we drzwiach, nie próbuj przejść: choćbyś głowę pod ramię schylił, koło biodra się nie przecisniesz. Spodnice to jaze podskakowały na nich w chodzie; młodzi mówili: od radości; starzy: od tęgości.

Zębami gwoździe kruszyły, a na siłę dobry parobek musiał być, żeby go za pasy o ziem nie prasły. Prawda, że za pasy zawsze chłop mięknie, a baba twardnieje. Ale przy dźwiganiu, przyszło snópki na wóz wykladać, albo na stodołę ciskać, to się dało widzieć. Silne były Capkule.

I robotne i obyrtne i ładne. Na żony jak ulane. Ale będzie ci kto biedną dziewczynę brał? Chyba

głupi, albo sam dziad, co mu innej nie dadzą. Ze-
szły się wraz dwa dziady, nie trzał nijakiej rady —
powiadają.

Kopińskiego dziewczki prawe były Capkule: sil-
ne, robotne, zwyrtnie i ładne. Tylko że w posagu
miały kamieńca trochę, lasu nie, pola z półtora
morgu, a i to jeszcze lada co, budynki żal się Boże,
wody ile chcieć, po dwie koszule, po dwie spódnice,
po jednej zapasce i szmatce na głowę, a na trzy
jeden kożuch po matce. W zimę tylko jedna mo-
gła wyjść. Będzie ci kto taką brał?

Nigdzie też nigdy nie szły, ani na wesele jakie,
ani na zabawę do kogo — nie miały w czem.

— U Wodnego Kuby zawdy wesoło — żarto-
wali ludzie — dziewczki nie potrzebujom nika le-
cieć. Dość se w doma udrypcom kie zimno, a na
brzuhak se przigrawajom. (Że to im w próżnych
brzuchach grało).

Nikt ich też nigdzie nie prosił. Kto ta dziada
rad widzi. Dziad i dziad.

Często też na Kopińskiego dziewczęta, które po
matce Capkulkami zwano, zamiast Capkule, wo-
łali: dziadule. Płakały.

Siedział Kuba koło wody pod brzegiem, blisko
Galicowej Grapy, w pustce. Domu naokoło ni-
gdzie. Las — ale cudzy, gazdowski. Dorule, Cho-
wańce, Galice, Pary: to to byli gazdowie. Chowali
niejeden po kilkanaście krów, kilkadziesiąt owiec,



po trzy, cztery konie. U Kopińskiego krowy nie było; jedna koza.

Dziewki się w lecie żywiły grzybami, jagodami, co po reglach zbierały. Ale w zimie, na wiosnę — raty! Po dwa i trzy dni nie do gęby, prócz odrobiny mąki, wodą rozbełtanej. Jak raz Ulka ukradła u Chowańców kawałek placka owsianego, to było święto.

Rosły — powietrzem i wodą — dziko, jak jodły w lesie. Miesiące czasem człowieka nie widziały z blizka. Choć Róży było dwadzieścia lat, Ulce dziewiętnaście, a Wikcie siedmnaście: nikt ku nim nie szedł, żaden parobek. Chude były nędzne, nieodziane, smutne. Choć ładne. Róża miała włosy czarne i oczy czarne jak iskry; Ulka i Wikta włosy jasne i oczy siwe, także jak iskry. Kości miały smukłe, bujne, ale ciała na nich nie było, nie miało z czego rosnąć. Nie łakomił się na nie nikt.

One też tak, jakby woli Bożej nie czuły. Takie dziewczki o czymżeby radziły? O parobkach radzą. Ale tu — trzeba było o głodzie i o zimnie radzić, żeby z głodu nie umrzeć, od mrozu nie umarznąć. Nie chwyta się wola Boża w takiej kondycyi.

Ucła się w końcu Kubie ta bieda, a i śmiechy ludzkie — Wodny Kuba! Wodny Kuba!... Siem skaranie!

Jednego dnia, w jesieni, już z hal zegnali, co

kto miał, mówi Kuba do córek: — Jadłyście co dziś?

— Borówki — odpowiedziały.

— Fce sie wam jeść?

— Fce.

Pomilczał Kuba trochę.

— Zal by wam béło tej hałupy — mówi.

— Abo co?

— Jakby my sie ś niej ka wynieśli?

— Ka?

— Ze ka we świat.

— Ka?

— Na hléb.

— Ze kazby to?

Pomilczał znowu Kuba chwilkę.

— Dziewki! — mówi po chwili.

— Co?

— Zabiercie ze skrzynie co ta jest i ka ta co.

Jakie smacisko abo płótno. Zróbcie węzelki.

— Pódziemé ka?

— Pódziemé.

Pozbierały, co było.

— Tatusiu! — mówi Wikta — Weznem ten obrazecek po mamie niebozycee.

I zdejmuje obrazek ze świętą Genowefą z nad pościeli.

— Weż — powiada Kuba.

— A ja se weznem siekiére — mówi Róza.

— A ja koze — powiada Ulka.

— Ka pudziemé?

— Ino podźcie.

Wyszli. Zaparł Kuba drzwi od chałupy. Obejrzał się na nią — westchnął, splunął i machnął ręką.

— Podźmé.

Poszły dziewczki za nim.

Prosto w brzeg, za wodę w pola. Na Pardółówkę, z Pardółówki w bór, w regle, po za regle w Tatry. Białą Wodę przeszli, po nad las, po pod Zielony Staw, ku Żelaznym Wrotom. Rano było, jeść się ogromnie chciało, nie było co z domu wziąć, borówki tylko po drodze skubali.

— Tato, juz nimogem dalej przez jedzenia — mówi Wikta.

— Cos ja ci dom?

— Ka to pudziemé, tato? Hań, w skale? — mówi Ulka.

— Hej.

— Zej haniok ani borówek nimas — mówi Róża.

— Nimas.

Umilkli.

Koza się pasie na trawie; miele w zębach.

Wstała Róża z ziemi, bierze siekierę, idzie ku niej — łup ją w łeb obuchem.

Padła koza, ani zięła.

Poderżnęła jej Róża gardło ostrzem.

— Tato! krzeście watre! — mówi.

- Koze es mi zabiela — woła Ulka.
— Dyjby tamok i tak nie wysła — odpowiada Róza i pokazuje na turnie.
— Luto mi bedzie za niom — mówi Wikta.
— Koza béla moja — mówi Ulka.
— Taka twoja, jak i moja! — odpowiada Róza.
— Ale ja jom z domu zajena!
— Béla naska, wspólna!
— Ale ja jom wiedła!
— Ale ja jom zabiela!
Zrobiło się cicho; strasznie dziko krzyknęła Róza.

— Nie kces jej to jeść, no tata watre słozom?
— mówi po chwili Róza i bierze się skórę łupić.
Zacięła Ulka usta, a Wikta płacze.

— Dobrze Róza zrobiela — odzywa się Kuba, który tymczasem chróst na ogień zbierał — jaby jom som bél zabiél. Aniby hań nie wysła, ani jeść nima co.

- W te turnie pudziemé?
— W té.
— Coz hań?
— Węgry, Luptów.
— A hań?
— Bedziemé patrzéc.
— Pudziemé na robote? Słuzyc?
— Ja was nie na to hował, cobyście między ludzi sły.

Kozę ze skóry obdarli, co upiekli, część zjedli,

część ze sobą zabrali. Pierwszy raz dziewczęta mięso jadły.

— Smakowała ci śtuka? — pyta się Róża Ulki.

Ulka usta zacina, a Wikta mówi:

— Ej, juz nam nie bedzie becała! Zjeść jek zjadła i jesce bedem, ale m jej zal.

— Hej, dziecko! — odzywa się Wodny Kuba.

— Kieby człowiek feiał syckiego załować, co nie jest tak, jakoby miało być, hnet by morze wypłakał.

Westchnął, splunął i ruszył naprzód.

Z głazów w kosodrzewinę, z kosodrzewiny w skały, przyszło po żebrach nad urwiskami po pod Litworową turnię iść, zdawało się, że skała z pod nóg ucieka.

— Tato! — woła Wikta. — Widzi sie, co odpadnem!

— Nie patrz dołu pod sie!

— Ej! Kiela tys to hań przepaść! — woła Róża i patrzy w dół.

— Pazdury sie fcom pięknie pozuruwać! — woła Ulka.

— Dzier-zcie sie! dzier-zcie sie! — napomina Wodny Kuba. — Bo wtora by haw durkła dołu, na prag sie zetre!

— Tak mi sie widzi, ze juz nóg nimam! — woła Wikta. — Jakobyk leciała w powietrzu!

— Śmierć pod tobom! Nie patrz pod sie!

— Hej! Hej! Joj! Jak leci, — woła Róża, strą-

ciwszy nogą glaz.

— Jak warcy!

— Ozbiel sie!

— Kiela to usypa za nim!

— Jak hucom!

— Jak dudnom!

— Turrr!

— Is! is! Woda!

— Staw!

— Jak sie świeci!

— Kielo to słońca na nim!

— Tato? Tato! Wicie? Staw!

— Widzem.

— Ka je ta w dole!

— Zywy byś nie doleciał!

— Ino sie cérni a świeci!

— Wiater od niego pociąga.

— Nie od niego, ba z turni.

— Tato! Tato! Icie?! Kozy! Kozice!

— Ka?!

— Hań! Haniok! Hore patrzcie! Ka tén upłazek! Taka płasienka zielona!

— Widzem! Widzem!

— Zje ka? Kaz som jest?

— Iiii — hi — heu!...

— Widzem! Widzem i ja! Ej wiera! Zénom tyz!

— Iiii — heu!

— Ino sie piarg kurzi!

— Jedna, dwie, trzi, čtyry!

— Pieńć, osiem, seść, jedenaście!

— Be z pietniaścioro!

— Abo więcyl!

— Be trzynaście!

— E dy my ik juz więcyl nalicyli!

— Jedna dwaścia — ozwał się Wodny Kuba.

— Is! Is! Jedna dwaścia!

— Przepadły w turniak!

— Teloż by ik nigda nie béło!

— Tak i z błogosławieństwe Boskiém bywuje
— rzekł Wodny Kuba.

Z żeber skalnych w upłazy, w źleb — po piargach, po rumowisku szli ku przełęczu.

— By sie haw przynamni głowa nie zawraca
— mówi Wikta.

— Tamoj sie widziało, co trza bedzie gwałte dołu odpaść — mówi Ulka.

— Skrzidła by sie bély przidały — mówi Róza.

— Cos to przy tym na smreka wylésé!

— Abo na jedle!

— Sto smreków by trza postawić jeden na drugim.

— Tysionc!

— Moze sto tysięcy?

Wyszły na przełęcz.

— Tato! Rany Boskie! Cy sie mi śnije?! —
woła Róza.

— Luptów!

— Cos to hań? To białe?

- Miasta, dziedziny.
- Kiele pola!
- Jak hań jasno!
- Nigda u nas tak jasno słońce nie świeci!
- Kiela rówień!
- Na lawom renke Śpis, na prawom Orawa.
- Kiele lasy!
- A haniok? Góry?
- Niżnie Tatry.
- Wyse, jak naskie?
- Nise.
- Kieli świat!
- Anibyś nie pedział, że taki moze być!
- Hej! Wielgi je tyz!
- Syrzśé! Zdłużśé!
- Piékny je tyz!
- Hej, Panie Boze! Ze tys piékny!
- Wesoly!
- Jaz radośé!
- Hań pudziemé? Dołu?
- Bedziemé patrzeć.
- Iiii — he — heu!...
- Ginie głos.
- Strasna! pustka do okoła.
- Kiele to turnie nad nami!
- Jak kościoły!
- Tędyj ino mozna przeńśé?
- Nié. Więcyl takik przełacek w Polskim Grzebeniu.

Pojedli znowu kozinń.

Wiedział Wodny Kuba o Batyżowieckiej Dolinie i o kolebie w niej, bo tam, młodym będąc, jedno lato owce liptowskiemu gaździe pasał. Dawno. Wykręcił z pod Żelaznych Wrót po za Batyżowiecki Szczyt, uniżywszy się ku Kończystej, nad stawek mały, co tam leży; przeszedł grań; skiełznąli na dół po ścianach. Słońce zapadać miało niedługo. Cała dolina liptowska poczęła się zalewać,, tak, jakby pozłaczanemi fiołkami słońce prószyło. Gęsto.

Znalazł Kuba kolebę; niedaleko stawu.

— Hawok bedziemé nocować, tato?

— Hawok.

— A jutro pudziemé dalej?

— Bedziemé patrzeć.

* * *

Noc i dzień wypoczywał Wodny Kuba ze swojemi dziewczkami. Już się i kozina poczęła kończyć. Po drugiej nocy rano popłoch się, zrobił w Batyżowcach, we wsi. Z trzody, co się pasła po pod Tatry, zginął wół. I popłoch jał się szerzyć po okolicy. To kupca wędrownego coś napadło w lesie, zabło i obrabowało, to się do wsi, albo i do miasteczka podkradło i zabrało, co mogło, to z trzody ginęły woły, krowy, owce.

Kto?! Co?!

Zbójniki z Polski spadły z za Tatrów na dziedzinę, obrabowały karcznię, albo dwór, albo ukradły byczka — i uciekły, z kąd przyszły, ale to siedziało w miejscu. Gdzie?

Już się i zimno zrobiło, a to siedziało. Grabież, mord spadały, jakby je turnie wyrzucały z siebie i znowu w siebie chłoneły. Okolica musiała drzeć — Batyżowce, Gerlachowce Mięguszowce, Poprad, Sławków, Czorba.

Tymczasem dziewczęta wodnego Kuby nabrały ciała, poubierały się w nowe koszule i spódnice, a w kolebie był schowek między kamieniami, umyślnie wyrobiony, w nim miedź, srebro, złoto, korale.

— Juzby my i gazdowstwo kiele tele kupili — mawiał Wodny Kuba, obrosły, czarny, smolny, leżąc przy ogniu między trzema swojemi dziewczkami. Siekiery przy nich, noże, nawet pistolety skradzione.

— Alek go paćła! — mówi Róża. — Ino raz spad na ziem!

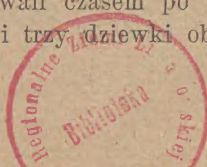
— Paćlak go i ja!

— I ja! — chwali się Wikta.

— A tamtegoś nie fciała, kie my ci kazowały, co jesce zywy bół.

— Do wsyckiego sie trza przyucyć — rzekł Wodny Kuba.

Ludzie widywali czasem po drogach starego, siwego chłopca i trzy dziewczki obdarte, bosc.



- Skądęście?
- Z Polski.
- Dokąd idziecie?
- Bięda nas zenie.
- Zarobku szukacie?
- Zarobku.

Niejeden opatrzył, dał, nikt się nie domyślał. Siekiery były krótkie, pochowane pod płachty, krucice za koszulą. Tak się przewiadywali, gdzie co ukraść można, gdzie jaki kupiec, karczmarz, bydło. Jak się nie dało ukraść bez mordu — mordowali. Spadali z nienacka w nocy, niewiadomo zkąd; przepadali w lesie, jak widmo. Zostawał tylko strach.

Legiwał Kuba przy wiatrze nocami, zatulał się w płachty i w kozuch i myślał. Dziewki twardo spały, ale on, stary, lichy już sypiał. Myślał więc o przyszłości. Tego wszystkiego do czasu było. Naprzód niezadługo przyjdzie zima — śnieg już przepadywał czasami — wtedy nikt nie wytrwa w kolebie w górach. Dalej ludzie spostrzedz się muszą, kto to rabuje. Stare chłopisko siwe, trzy kobiety — dobrze, ale i to wzbudzi podejrzenie. Rabunki się powtarzają, mordów było ze trzy. Dobra nazbijanego już jest kielo telo. Trza do chałupy wrócić. Wyzimują się, a na wiosnę, niby na robotę pójdą, w rzeczy gdzie jaki kawałek gruntu kupią i nie wrócą więcej. Wyniosą się za Nowy Targ, za Obidową. Dziewki się za mąż wydadzą,

tluste, czerwone na gębie, zabrały się, aż miło spojrzeć. Wodny Kuba będzie ziemnym Kubą. Przecie się los za wolą Bożą odmienił.

A dziewczki żyły jak w ogniu. Nauczyły się biegać po turniach, jak kozy, przez las, jak wilki. Wichur im wypalił twarze, krew się im płomieniała pod czarną skórą, żar je palił. Pierwsza kradzież im zgrabnie poszła. Ojciec wołu w kosodrzewinie za rogi złapał, pysk smatą okręcić kazał, uwiedli go w gąszcz, obuchem w łeb raz, drugi, trzeci — zabiła Róża. Było jedzenia na parę dni, dopóki się mięso psuć nie zaczęło.

I napad pierwszy na drodze też się powiódł szczęśliwie. Idzie stary chłop drogą z trzema dziewczętami; nie bał się kupiec, choć las był. Biały dzień zresztą.

— Niek będzie pokwalony — mówi mu stary, mijając, i uchyla kapelusz.

Kupiec Niemiec musiał być, nie odpowiedział, tylko głową kiwnął, a w tej chwili stary się obrócił i buch go w głowę sękaczem. Kupiec padł. Stary mu poprawił raz, drugi, nożem dodźgał. Tego tylko Róża wycięła raz obuchem. Ale drugiego, karczmarza, już ona pierwsza nożem po gardle na spaniu przejechała. Kazała Wikcie dobić go, sama z Ulką i ojcem za pieniędzmi rozbijała; nie chciała Wikta. Ale przy trzecim razie, kiedy znowu wędrownego kupca napadli, już i ona raz mu obuchem w ciemię dała.

Różę opanował szal grabieży, a nawet mordu. Kiedy kilka dni nigdzie nie szli, usiedzieć nie mogła.

— Musem kie podpalić té dziedziny — mówiła, patrząc ze zrębu turni na miasta i wsie po Spiżu i Liptowie.

Już nie stary ojciec, ale ona bywała hersztem wypraw. Naprzód szła z siekierą pod płachtą, z pistoletami za koszulą. Ona broni dostała. Okradła sklep korzenny w Popradzie, gdzie i broń sprzedawali. Wśliznęła się oknem sama w nocy, wygiąwszy tyle kraty w oknie toporzyskiem, że się zmieścić mogła. Gdyby ją był kto usłyszał, byłaby przepadła. Ojciec i siostry stali za węglem domu z przeciwka, gotowi do obrony, ale i do ucieczki. Gdyby się nie dało wybronić, lepiej jednej głowy, choć siostry i córki, odżałować, niż swoje stracić. Serca im dygotały w piersiach. To była najzuchwalsza, najśmielsza kradzież.

— Nie bałaś się, że cie przisiednom? — pytała Wikta.

— Ej! Ani mi do myśli nie przisło. Kiebyk sie béła bała, nie béłabyk lazła.

W dolinie przy stawie, w lesie podczas napadu: zdawało się, że rosła. Kiedy pomiędzy ludzi szła, kurczyła się i gięła, pół jej ubywało. Bała się ludzi, niecierpiała ich.

— Kąsałabyk, kie między nik wlaze — mówiła — jaze mi zukwy skacom.

Ulka kradła najlepiej. Zawsze ona najwięcej przyniosła łupu, zwłaszcza pieniędzy. Nie uszło nic jej oka, niczego nie minęła. Ulka ma w palcach światło — śmiały się z niej siostry, bo żeby najciemniej w jakim sklepie, albo w komorze było, zawsze ona, co trzeba było, znalazła.

Ona była gospodynią w kolebie, ona gotowała, chowała w skrytce grabież, żeby nie zamokła, prała, ogień robiła. Jak odrobiła swoje, legła i spała.

Wikta, najmłodsza, leciała z innemi, bo się sama bała zostać w górach, ale się na wiele nie przydała. Unosiła w góry to, co jej ojciec i siostra do niesienia dali, ale sama mało co ukraść umiała. Kiedy stary Kopiński leżał przy watrze i, fajkę paląc, w głowie plany na przyszłość układał, Róża ostrzyła noże na gładkiej skrzyzali, albo suszyła proch, a Ulka koszule prała, lub pieniądze liczyła, co jej się nigdy nie sprzykrzyło, kładąc je w kupki dla rachunku. Wikta wypatrywała kozy, świ-staki, przypatrywała się siwarnikom, jak koło stawu po kamieniach chodziły, ćwierkając, świergocząc, mentłom skalnym, co po turniach latały, i jaki tam ptak się pokazał. Śpiewać była by rada, ale ojciec głośno bronił, żeby gdzie kto nie usłyszał, choć sroga pustka była wszędy na okół; więc nuciła z cicha, co jej się przypomniało i wyskakała po cichutku: iii-hi-heu!... Radaby była strasznie owce mieć i po hałach je pasać. Najładniejsza była z sióstr, ale węższa i słabsza.

I byłoby wszystko dobrze. Tak się stało, że zlecieli na grabież ku wsiom za pogody. Tymczasem napadał śnieg i tropy po nich zostały. Wybrali się ludzie w pogoń za śladem, wicher jednak straszny przyszedł, drzewa łamał, więc wrócili. Jeden tylko śmiały strzelec, rodem ze Sławkowa, uparł się iść, a uparł się tem więcej, że go tropy dziwiły, bo jedne stopy chłopskie, ale inne drobne, kobiece. Chłop i trzy baby. Na świętego Marcina! Cóż to może być?! Baby za zbójników nastaly?!... Nie wiedział on nic o Kopińskim i jego córkach, ale rozumiał, że wicher i tę bandę musiał gdzieś zatrzymać. Wziął strzelbę, siekierę i ruszył.

Choć wicher śniegiem ciskał, tropu niestracił. Tak szedł, jak za dzikiem, albo niedźwiedziem. Ale ci, co uciekali, nie ustawali w drodze. Coraz wyżej oni szli w góry. I mądrzy byli, bo się w kosodrzewinach rozbiegli, każde osobno poszło.

— Śnieg by nas mógł zradzić — mówił Wodny Kuba: — Trza ino dobro ze skrytki zabrać, musimé uciekać, skąd my przišli.

To go trapiło, jak tu po śniegach przejść. Którędy przeszli po pod Litworowe, niema mowy. Ptakby chyba przeleciał. Wiedział on o przejściu poza Garłuchowskim Szczytem, którądy łatwiej, ale trzeba było szczyt obejść, uniżać się ponad Wielką Dolinę. Spotka pogoń, jeżeli ściga, rozbiegła się — może być źle.

— Bedziemé sie bć — mówi Róza .

Rozsiali się w kosodrzewinie, żeby trop zmylić, mieli się przy kolebie zejść. Nie czekać potem nic, niech co chce będzie, w nocy ztamtąd wyruszyć. Da się, to ku Wielkiej Dolinie; nie da, to ostrożnie ku lasom się spuścić i lasami po pod Tatry drzeć, gdzieś ku niskim przełęczom; ku Orawskim Tatom, ku Krzywaniowi. W nocy gonić nie będą. Żeby tylko w lesie nie zbłądzić. Ale tu stary Kuba liczył na Różę. Ta se wszędź do rady — uspokajał się.

Co do Róży, to ta liczyła, że i trzem chłopom sama dostoi: dwóch z pistoletów, trzeciego ciupagą.

— Dyj i oni zbroje mozem mieć.

— Niegze majom! Ja ta o ik zbroje nie pytam, ino o swojom.

Tymczasem sławkowski strzelec wybrał chłopski trop i za nim szedł. I wyszedł na rówień kamienną koło stawu, na brzeg, gdzie go z koleby nad stawem było widno. Wzięli go Kopiński z córkami na oko. Patrzeli, czy więcej ludzi nie idzie. Dobra bronić postanowili do śmierci. Stracić to, co tak krwawo zarobili?! Stopy i ręce kalecząc, po tylim czasie bez dachu nad głową, mieszkając wśród kamieni, jak zwierzęta dzikie, naraziwszy się tyle razy na schwytnie, na śmierć, po tylu wytrzymałych ulewach, nawałnicach i zimnach?! Na to by to mieli wszystko przetrzymać, żeby im kto teraz miał krwawą zdobycz, krwawe dobro

odebrać?! Czy kiedy jaki gazda, jaki rolnik, który bogaty Galica, Chowaniec czy Para, wylał tyle ciężkiego potu, co oni, natrudził się tyle, nadźwigał, namęczył?! Nawet Wikta ścisnęła pistolet w ręce, choć się go zawsze dotąd bała.

Ale nikt się nie pojawił pod stawem, a ten człowiek, który przyszedł, widocznie znużony bardzo, porozglądawszy się wokoło i nic nie ujrawszy, siadł pod wielkim głazem, oparty plecami, siedział, rozglądał się, fajkę palił, aż zasnął. Widać było.

Wtedy Róża i Ulka podkradły się ku niemu z nożami.

Spał tego.

— Zabić go! — szepnęła Róża.

— Nie! Związać go! Powie nam, cy nas ścigajom.

— Ej, wiera! Ale s cym związać?

Ulka pomyślała trochę.

— Spodnicami!

Zdjęły wierzchnie spodnice, skrzyły.

— Do garła mu nóż przyłożem, a ty wiąż! — rzekła Róża.

Pod szpicem noża obudził się strzelec, ale już nie drgnął, tylko oczy otwarł. Szpic noża czuł w skórze na krtani. Ręce mu Ulka wiązała spodnicami w tył na plecach.

— Djabłyście?! — ozwał się, kiedy mu Róża nóż ze skóry wyciągnęła.

— Djably! Podź!

— Wyrwę się!

— Spróguj!

I Róża przytknęła mu znów nóż do gardła.

— Podź!

Przywiodły go do koleby.

Zdumiał się.

Stary chłop przed nim, zarosły, jak las, czarny, jak torfowisko, tylko włosy mu się biela, jak mech siwy na smreku. Przy nim dziewczyna, młoda, ledwie dorosła, z pistoletem w ręku, koło niego dwie wiedźmy młode i ładne, a bujne, jak lipy. Spódnicami go związały na śnie i wiedą. W kolebie mieszkają, widno, sprzęt nawet niejaki jest.

Zdumiał się strasznie.

Stary Kuba myślał: udać przed nim, że to nie oni rabowali — ej! na co? Nie uwierzy, a i tak żywy nie może odejść.

— Ścigajom nas? — spytał.

— Prawde mów! — rzekła Róża, dotykając strzelcowi twarzy nożem.

— Ustali. Wiatr ich wrócił.

— Dobrze. S cymeście go związały? Spodnicami?

— No.

— Dobrze. Trza poprawić.

Związali strzelcowi ręce i nogi powrozem, przewiązali usta, aby nie krzyknął.

Stary Kuba myślał: albo go zabić odrazu, albo

też zmusić do niesienia zdobyczy, dokąd się da, a potem zabić. Tak zdecydował.

Ściemniać się jęło i nikt nie nadchodził. W nocy nikt tu nie pójdzie po śniegach świeżych, ślizgich i miękkich. Wiatr zresztą tropy musiał zawiąć bez śladu. Naszła od północy z poza wierchów gęsta, posępna mgła.

Wodnemu Kubie bezpieczniej się wydawało przejść poza Garłuchowski Szczyt ku Polsce, niż zniżać się ku Liptowu, ku niższym przełęczom. Ale nie pamiętał, którędy popod Garłuchowskie turnie przejść, żeby na przepaście nie trafić.

— Pilnujcie go haw — rzekł — a ja przelece przeźreć, ka puści? Jak noc nie będzie ciémno, w nocy pudziemé, jak be barz ciémno, lem świt. To biéda, ze gmy ciągnom.

— Byście ka nie zaskocyli, tato.

— Bedem skale kład na znak. Ono we mgle hnet pogłupi cłowieka. Hnet zgłupie.

— Wracajcie wartko.

— Ino przeżrem. Pilnujcie tego cłeka!

— Ó! Juz my go hawok upilnujemé! Lećie, tato, co thu!

— Duhem!

Poszedł.

Pojadły dziewczki. Wikta odwiązała usta strzelcowi, dała i jemu. Śmiały człowiek był, zaczął żartować. Sam się ze siebie śmiał, że się dziewczkom dał wziąć.

— Cóż wy ze mną zrobicie? — spytał.

— Ozwiążemé ci nogi, pomożes nam dobro nabiżane znieść. Pote cie zabijemé. Tak tata radzili.

— Ej, to mnie przecie nie zabijajcie!

— Zradziłbyś nas!

— Nie zdradzę. Przysięgnę!

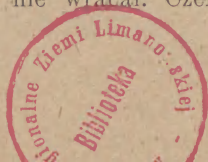
— Jako tata ukwalom, tak będzie.

Kiedy mu Wikta dała pojeść, Ulka mu przyniosła flaszkę z wódką i przytknęła do ust; zaraz wstała Róża i przyniosła mu wina.

Wikta mu podłożyła serdak pod głowę; Róża wtedy podsunęła mu drugi pod plecy; zaraz wstała Ulka i przyrzuciła mu czuchą ojcową nogi od chłodu. Nie zawiązywały mu już ust. Mówiły, żeby im odpowiadał. Słuchały. Jak się jedna spytała, czy mu się chce jeść, zaraz się druga pospieszyła spytać, czy mu się nie chce pić, a trzecia była zła.

Przypatrywały mu się z razu śmiało. Ale potem jedna na drugą poglądała, czy nie widzi. Kiedy się spotkały oczyma na jego twarzy, czerwieniały. Młody był, może miał dwadzieścia pięć lat. Chłop rosły, bujny, ze strzelecka ubrany, jasną miał młodą brodę, krótko przy twarzy, niebieskie oczy.

Mgły szły gęste, coraz gęściejsze. Począł się i zbliżać wieczór. Wychodziły wyglądać jedna po drugiej; stary nie wracał. Czekwały — nadeszła noc.



Złożyły wiatrę, bo i pewne były, że nikt nie ściga i w takiej mgle ani ognia, ani dymu nie widno.

Ópatrzyły strzelcowi dobrze powrozy i legły koło ogniska na sen, strzelca mając między sobą. Usta mu zawiązały. Ojciec przykazał, żeby tak było.

Kiedy się obudziła Róża, mgły nie było, noc jasna. Turnie czarne nad stawem, staw jak czełkuść. Księżyc przyświecał z nieba; pół go było.

Cicho.

Uniosła Róża głowę z posłania, patrzy: strzelec, jak był, jednym bokiem przy ogniu, z drugiej strony Ulka, przy nogach Wikta. Róża była mu koło głowy. Tak się jej zdało, że Ulka udaje, że śpi, a Wikta głowę schyliła, kiedy ona swoją podźwignęła. Strasznie się jej blisko obie siostry wydały strzelca, bliżej, niż kiedy spać leżały.

Przysunęła się i ona ku niemu.

I powoli zaczęła się ku niemu przybliżać, ale tak musiała robić i Ulka, bo się zetknęły, Róża kolanami z jej głową.

Zadrzemało się Róży.

Budzi się po chwili; znalazła swoje kolana odsunięte i oparte o plecy Ulki; wsunęła się i ona prawie całkiem między nią a strzelca. Podnosi głowę: Wikta przyciśnięta do strzelcowych nóg. Strzelec śpi, albo udaje.

Szarpnęło Różę.

— Co sie pchas?! — mówi do Ulki — Pąk sie! — i trąca ją w ramię.

— Ty sie pąk! — odpowiada Ulka.

Umilkły. Sapanie jakieś wzduło pierś Róży; dycha i Ulka, aż jej nozdrza świszczą. Nic nie mówią do siebie, ale się cisną, jedna drugą: Róża Ulkę w ramiona, Ulka Różę plecami w kolana. Odepchnąć się chcą.

A we Wikcinych piersiach ogień. Sunie się, sunie cichutko, jak wąż, ku strzelcowym nogom, coraz bliżej, coraz bliżej. I słyszy, jak Róża mówi: — Nie pchaj sie! Pąk sie, kaś béła!

— Pąk sie ty! Kajek béła, tamek jest!

— Nie prawda! Mnie zimno!

— I mnie zimno!

— Dociś drew!

— Sama se dociś!

Umilkły.

— Ej! — byk cie nie kopła! — mówi po chwili Róża.

— Abo ja! tobie! — odpowiada Ulka.

Znowu umilkły. Sapały, sapały, zdawało się Wikcie, że zasnęły. Zdrzemała się i ona — wtem coś je potraćilo w twarz. Otwiera oczy — patrzy: Ulka nad strzelcem schylona, prawie leży, ręce na nim trzyma.

Jakaś wściekłość przejęła Wikte. Zerwała się na kolana, krzyczy: Co robis, Ulka?!

Wtej chwili obudziła się Róża i też się porwa-

ła z posłania. Ulka nie zdążyła strzelca puścić — patrzą na siebie.

— Ulka! odzywa się Róża groźnie.

— Co?! — odpowiada Ulka, a głos jej drży z nabrzmienia w piersiach.

— Ty?!...

— Cos?!...

— Odeńdzies?!

— A ty jako?!

— Coś fciała?!

— A ty?!

— Ja go hyciela!

— Ja go wiązała!

— Możesz go ozwiązać fciała?!

— A ty co byś fciała?! A kiebyk go i ozwiązała, to co?!

— Mój jest!

— Taki i mój!

— Twój?!

— Zej to mi go weź!

— Jako bedem fcieć!

— Abo ja!

— Ty?!

— Moze ty?!

Zbliżyły twarze ku sobie — zdawało się Wikcie, że sobie zębami grożą, tak blisko były siebie.

— Idź! — krzyknęła Róża i chwyciła strzelca za ramiona.

— Ty idź! — odrzyknęła jej Ulka, łapiąc go wpół.

Przy blasku ognia zobaczyła Wikta jakiś przewściekły gniew na twarzy Róży. Porwała się ona na nogi, kopnęła Ulkę, aż ta się pochyliła; chwyciła strzelca pod pachy i uniosła go nad ziemię, jakby go odwlec chciała. Chwilę się zdawało Wikcie, że się Ulka rzuci na Różę, ale widocznie się bała; odtrąciła tylko Wikte z całej siły. Wikta przysiadła od ciosu i skoczyła wściekła na nogi. Kiedy Ulka złapała strzelca za nogi koło kolan, aby go nie dać ciągnąć Róży, Wikta, sama nie wiedząc prawie, co robi, ślepa z uniesienia, objęła go pod uda. Poczęły go ciągnąć, szarpać, każda ku sobie. Z zawiązanych ust strzelca wydobywało się chrapanie, zrazu chciał krzyczeć, potem znać, że jęczał. Ulka, najsilniejsza, darła go za nogi ku sobie. Wikta mimowoli jej pomagała. Targnęły już ku sobie Różę jeden krok, dwa, trzy.

— Cyjze będzie? — stęknęła Ulka.

Róża chciała się zaprzeć nogą o głaz, ale nie zdołała. Znów dwa kroki pociągnęły ją ku sobie siostry. Wtedy krzyknęła: — To se go biercie! — szarpnęła ciało z wysiłkiem ku sobie i z całym zamachem grzmotnęła głową strzelca o kant głazu. Jęk przeraźliwy wydarł się z pod szmaty na ustach.

Naokoło prysły krew i mózg.

Puszczony z pod ramion przez Różę, strzelec

runął z rąk Wikty i Ulki. Puściły go przerażone.

— Zabiéłaś go! — wrzasnęła Wikta.

— **Zabiéłaś!** — **powtórzyła Ulka.**

— Zabiéłak! — odpowiada Róża. — Teraz ze
je was?!

Oparła się o glaz tyłem i rękoma, gotowa do walki.

Wikta przyklękła przy leżącym strzelcu, zdjęła mu opaskę z ust. Jęknął, ale ledwo, słabo i jakby ostatnim tchem. Ulka skoczyła po nóż i porozcinała powrózki, któremi był związany. Mało co poruszył sobą jeszcze. Musiał skonać.

— Zabiéłaś go — szepnęła Julka.

— Zabiéła — powtórzyła Wikta. Klęczały przy nim, jedna z opaską w rękę, druga z nożem, obie pokrwawione.

Róża odwróciła się, stała chwilę nieruchomo, a potem zaczęła jakimś kijem ognisko rozrzucać. Zostały tylko tlejące, przepalone drwa i węgle. Stało się ciemno.

W tej chwili ozwał się z nieopodal głos Wodnego Kuby: He — hé — heu!...

— Tata idom! — drgnęła Ulka.

— Jesteście ta?! Bez cos watre osciskujecie?! — wołał Kuba.

Zbliżając się, mówił: — Gmy mie zaśły, widziało sie, co przepadnem. Cysto piéknie jek zgłupiał. Tagek seł, jak ślepy. Wyniesło mie psie mięso jedne kasi w takie źleby, co sie widziało, ze juz

gwałte hań trza bedzie ostać. A nie widno nika nic: gma i gma. Dobrze mie juz janieli séjmować z tyk turni fcieli. Poblądziłek, zakręcało se mnom... Je cos to haw?! W Imie Ojca i Séna!... Kis to sto djasków?!... — Nadszedł i zobaczył przy księżycu strzelca na ziemi nieruchomego, a z rozwiązanemi rękoma i nogami.

— Cos sie stało?! Cozeście takie niemowy?!

Chwycił suchą gałąź, przygotowaną na ogień, zatlił ją, rozпалиł i począł patrzeć.

— Leb ma ozbitom! W imie Ojca i Séna! Wtos to zrobiel? Cy sie ozwiązał i uciekać fciał?

Oglądał go coraz lepiej, mówiąc do siebie: — Odzienie na nim potargane, durkniony je ciemniem o skałe... Powrózki noze poprzecinane... nie porozruwane nijako...

Obrócił się do córek: — Cyście go wy ozdarty, jak orły?

Dziewczyny milezały.

— Ze cos zrobiel? Dyj sie sam o skałe nie prason, ani sie znika nie sulnon, bo niemiał skąd. Cos zrobiel?

Dziewczyny milezały.

Wodny Kuba przywykły był ostro przewodzić w rodzinie, tupnął więc nogą ze złością i krzyknął z gniewem: — Powiécie, weredy jedne, cy nie?!

Dziewczyny stały koło strzelca i milezały. Róża patrzała na ojca bystro otwartemi oczyma, Ulka odwróciła twarz w bok, Wikta wsadziła koniec

fartucha w zęby i spuściła głowę. Wodny Kuba stracił resztę cierpliwości, złapał patyk z pod ręki i skoczył ku Wikcie.

— Powiés, lebo nié?! Dyrlago zatracona!

Wikta się przeleękła, cofnęła, zasłoniła ręką i krzyknęła ze strachem: — My go zabiéły!

Wodny Kuba wstrzymał się, jakby go z pod ziemi za piętę chwyciło. Chwilę niemo stał, potem zawołał ze zdumieniem: — Zabiéłyście?

— Zabiéły — powtórzyła Wikta i dodała z trwogą szybko: — Róza go zabiéła.

Wodny Kuba nie mógł ochłonąć ze zdumienia.

— Jazek zmiértwiał — rzekł. — Zabiéłyście go? ale na co? bez co? Cy se sam na spaniu powrózki poozcinał i uciekać fciał? Abo fciał hipnoné do was? Ale dyj przecie związany bél, co cud! Cyscie wy mu ozcieny powrózki?

— My, ale juz na trupie — rzekła Wikta.

Wodny Kuba otworzył usta ze zdziwu.

— Hnet byś o rozum prziseł — rzekł. — Toście go związanego umęcyły?!

Dziewczyny milczały.

— Bez co?!

Róza poczęła patrzeć w dół, Ulka odwróciła jeszcze więcej twarz, a Wikta wzięła znowu koniec fartucha w usta i spuściła głowę. Wodny Kuba stał przed nimi i patrzył na nie kolejno przy świetle księżyca, który wyszedł z chmur i wisiał

na zrębie Batyżowieckich grani, przedarty i ziskrzony na ośnieżonych skałach.

— A cozeście go zjeść fciały, cy jako? — ozwał się po chwili.

Patrzył na nie. — Hm — rzekł — coż sie tak hańbicie? Głowyście pospuszczały, nie patrzicie do mnie śmiało... Ej! — wrzasnął nagle, znowu wpadając w złość. — Abo mi tu w té razy powiecie, abo, przy sam Panu Bogu, ja was krotni miliońscy! Tu was porombiem.

Chwycił siekierę we wściekłym gniewie. Wikta i Ulka skoczyły ze strachu, choć jeszcze kroku z miejsca nie ruszył, a Róża ozwała się gardłowo: — Wydrzéc mi go fciały... Ból mój... Bez to...

Wodny Kuba znowu się zdumiał niesłychanie. — Wydrzéc? — powtórzył. — Jakos to? Nie rozumiem temu... Jako wydrzéc? Na co?...

— Ulka sie ku niemu pchała — rzekła Róża.

— I Wikta tys! — zawołała prędko Ulka.

— I Róża! — krzyknęła Wikta urażona.

— Obie sie pchały — rzekła Róża.

— I ty tys! Jesce barzėj — zawołały Ulka i Wikta razem.

— Tyś sie pchała piérso! — krzyczała Ulka.

— Ba ty! — odpowiedziała Róża.

— Tyś go hyciela pod pazuhe!

— A ty za nogi!

— Wikta tys!

— Ja ino tak, boście wy ciągly!

— Ty! Tyś ku niemu piérso podjehała — krzyknęła Róza.

— Baj to! Prawda! — odcięła się Wikta.

— Ona! — krzyknęła Ulka także na Wikte.

— E! Moze!?! — broniła się Wikta. — Tyś na nim légała, nie ja!

Wodny Kuba słuchał i cudował się niemo; teraz nagle podniósł głowę, chwycił powietrze w usta, przysiadł na ziemi i zaczął się śmiać: — Ha! ha! ha! — aż się rozległo po ciemnej dolinie koło stawu. —

— Ha! ha! ha! — śmiał się Wodny Kuba. — Kizby sie i djaboł nazdał! Ha! ha! ha! Toście go ozedrzyć pomiędzy sie fciały! Rany boskie! Pukne! Ratujcie me świenći Janiołowie!... Pukne od śmiehu!... Ha! ha! ha! Jaze mnie kolki prejom!... Na mój sto prawdu! Kizby sie djaboł nazdał, aj nazdał?! Ha! ha! ha!... Ha! ha! ha!...

Siadł na kamieniu i zanosił się od śmiechu.

— E dy... e dy... — począł mówić przerywanym od śmiechu głosem — e dy... trza béło za kolejom... e dy... kabyście go béły ozdarty... na cęści... i tak by sie do równości nie dostało... zadnej... co potrza... jedna by miała głowe... ha! ha! ha!... druga nogi... trzecia!... ha! ha! ha... Pukne!... Pukne!... ha! ha! ha!... ha! ha! ha!...

Śmiał się, aż się na prawo i na lewo kołysał.

Róza patrzała na niego dziko szeroko rozwartymi oczyma, Ulka miała znowu odwróconą twarz,

a Wiktę porwał ojca śmiech i zaczęła pokwikiwać dziwnie, nieswoim śmiechem.

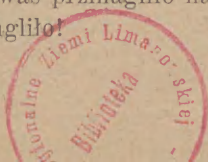
Kiedy się Wodny Kuba wyśmiał do syta, oczy z łez otarł, pas na brzuchu poprawił i włosy z ramion odgarnął, wstał z kamienia i jeszcze przerywanym głosem począł mówić: — No... dziewcęta... ale dzień hnet... trza w uciekaca... ścignon by nas wto zatela sukać... juz nas hawok ośpihowali, oślade strzelcowom tys najdom — — podźmé, by my sie ka nie strekneli s kiém...

Spojrzał ku strzelcowi. — Ej! Przidałby sie tén honielnik dobro niésć... No ale ta jako feiało... Musimé sie sami jako spomóc...

Fryško! Fryško! Zbiérajcie sie! Gajdzice!

Dziewczyny chwyciły się roboty, jak ogień; ra-
de snadź, że się już myśl ojca odwraca od strzelca.
Ale Wodny Kuba, pakując i wiążąc zdobycze,
śmiał się i drwił z nich: — O zackajciez ta, zac-
kajciez końdek... Aleście z Capkowskiego fajtu!...
Syćkie Capkule do hłopa, jak kot do spérki!... O
hej!... O zackojciez tys, zackojciez!... Ino zeńdzie-
mé dołu... Terazeście tłuste, piékne... A cobyście
sie jesce mnie starego nie hycieły... Ha! ha! ha!...
I znowu śmiać się zaczął, aż wiązać na moment
przestał.

— Djabłaście zjadły, aj, zjadły! — powtarzał.
— Sakowite rzecy jek slišał we świecie, ale cosí
takie nié. Ale was przinagliło naremnie! Wiéra ze
tys! Ale przinagliło!



Jeść se, dziewczki, weźcie — ozwał się, gdy wszystko było gotowe. — Ty, Ulka, zabier se, boś ty jeśna. No podźmé!...

Stęknął pod workiem, stęknęły i dziewczęta, jedna drugiej ładując na plecy. Mieli iść, kiedy Wodny Kuba wstrzymał się nagle i rzekł: — Wiera! Dałby nam ten!

Poczem szybko zsunął worek z grzbietu, przystąpił do zabitego strzelca, obrócił go do ziemi i wbił mu nóż pod łopatką do serca.

— No, teraz hybajmé co duhu!

KONIEC TOMU II.

SPIS RZECZY:

	Str.
Żelazne wrota	5
Jak się Michał Łojas powiesił	13
Dziki Juhas	27
Jak Jasiak z Ustupu, Hanusia od Królów i Marta Uherczykówna z Liptowa śpiewali w jedno słoneczne rano ku sobie	41
Franek Seliga i Pan Bóg	51
Jak się Józek Smaś pojechał wysłuchać	61
O Bartku Gronikowskim raubszyku	75
Jak umarł Jakób Zych	101
Orlice	115

WYDAWNICTWA
KSIĘGARNI J. CZERNECKIEGO
W KRAKOWIE

WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE :

1. **Żmurko Fr.:** przez Wł. Prokescha 5.—
 2. **Tetmajer W.:** przez J. Czernieckiego 5.—
 3. **Wodzinowski W.:** przez Wł. Prokescha 5.—
 4. **Mehoffer J.:** przez M. Samlickiego 5.—
 5. **Kossak W.:** przez J. Trepkę 5.—
 6. **Stachiewicz P.:** przez J. Trepkę 5.—
 7. **Stasiak L.:** przez J. Czernieckiego 5.—
 8. **Piotrowski A.:** przez Wł. Prokescha 5.—
 9. **Unierzyski J.:** przez Wł. Prokescha 5.—
 10. **Uziembło H.:** przez W. Mitarskiego 5.—
 11. **Karpinski A.:** przez dra Kleina 5.—
 12. **Chełmoński J.:** monografia przez A. Piotrowskie-
go (w druku) —.—
- Stachiewicz P.:** Boży rok. Dwanaście barwnych ilu-
stracyj w tece 26.—

HISTORIA, SZTUKI PIĘKNE :

- Cercha St. i Kopera F.:** Nadworny rzeźbiarz króla
Zygmunta Starego Giovanni Cini z Sieny
i jego dzieła w Polsce, 112 ilustr 10.—
- Ks. Dr. T. Kruszyński:** Stary Gdańsk i historia jego
sztuki 6.—
Dzieje sztuki starochrześcijańskiej 27.—
- Stasiak L.:** Przewodnik ilustrowany po Krakowie, jego
kościółach, pałacach, muzeach, murach
miejskich i starożytnych domach 140